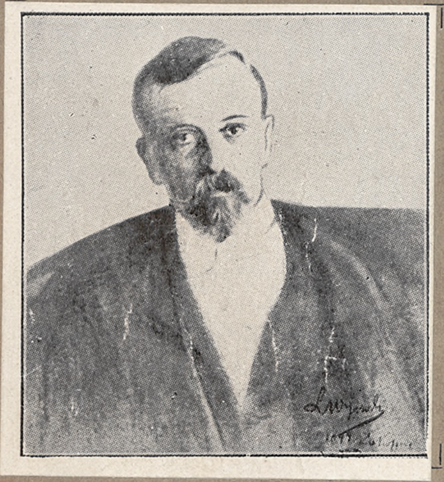
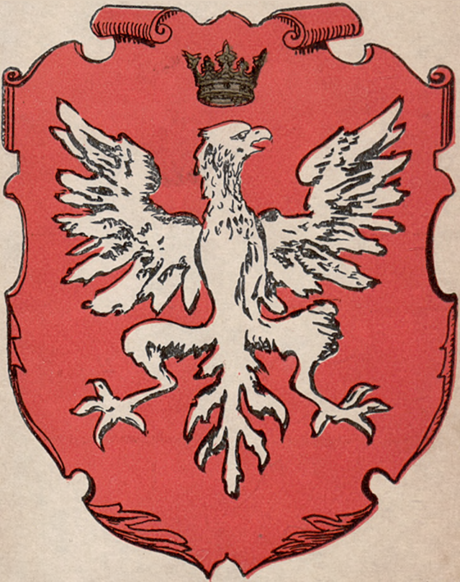
Henryk Sienkiewicz



POTOP

II



Szymon St. Deptuła

HENRYK SIENKIEWICZ

P O T O P

POWIEŚĆ

WYDANIE Z OBJAŚNIENIAMI I MAPAMI

TOM II

LWÓW
WYDAWNICTWO ZAKŁADU NARODOWEGO IM. OSSOLIŃSKICH
1936

NAKŁAD I WŁASNOŚĆ
ZAKŁADU NARODOWEGO IMIENIA OSSOLIŃSKICH
WE LWOWIE

15/1936
Z DRUKARNI ZAKŁADU NARODOWEGO IM. OSSOLIŃSKICH
pod zarządem Adama Wierzbickiego

ROZDZIAŁ I.

Te myśli spać mu nie dały następnej nocy. Przez kilka dni ciągle jeszcze rozmyślał o pannie Aleksandrze i poznał, że mu głęboko w serce zapadła. Przecie to szlachta laudańska chciała go z nią żenić! Ona wprawdzie zrekuzowała mu bez namysłu, ale wtedy ani go znała, ani widziała. Teraz zupełnie co innego. On ją wyrwał po kawalersku z rąk gwałtownika, narażając się na kule i szable; poprostu zdobył ją, jak fortecę... Czyjaż ona, jeśli nie jego? Może-li mu czegokolwiek odmówić, choćby i ręki? Nużby popróbował? Nużby z wdzięczności narodził się w niej afekt, jak się to często na świecie zdarza, że ocalona panna zaraz rękę i serce zbawcy oddaje! Gdyby zresztą nawet nie czuła dla niego zrazu afektu, to tem bardziej należy mu się o to postarać.

— A jeśli ona tamtego jeszcze pamięta i miłuje?

— Nie może być! — powtórzył sobie pan Wołodyjowski; — gdyby go nie odpaliła, toby jej gwałtem nie brał.

Okazała wprawdzie nad nim miłosierdzie niezwyczajne, ale niewieścia to rzecz litować się nad rannymi, choćby nieprzyjaciółmi.

Młoda jest, bez opieki, czas jej zamąż. Do klasztoru widocznie nie ma wokacji [1], bo jużby poszła. Było czasu dość. Tak gładką pannę ustawicznie będą rozmaici kawalerowie turbowali: [2] jedni dla majątku, drudzy dla urody, trzeci dla zacności krwi. Ejże, miło jej będzie mieć taką obronę, której skuteczność własnemi oczyma oglądać mogła.

— A i tobie czas się ustatkować, Michałku! — mówił do siebie pan Wołodyjowski. — Młodyś jeszcze, ale lata prędko biegną. Fortuny się nie dosłużysz, chyba więcej ran w skórze. A bałamuctwom koniec będzie.

Tu panu Wołodyjowskiemu przesunął się przez pamięć cały szereg panien, do których już wzdychał w życiu. Były między niemi i bardzo urodziwe, i z wielkiej krwi idące, ale milszej nie było i zacniejszej. Toż ten ród i tę pannę ludzie sławili w całej okolicy i z oczu jej patrzyła taka uczciwość, że nie daj Panie Boże nikomu gorszej żony.

Czuł pan Wołodyjowski, że mu się trafia gratka, jaka się drugi raz może nie trafić, a to tem bardziej, że pannie taką niepospolitą usługę oddał.

---

[1] powołania. [2] niepokoili.

— Co tu zwłóczyć! — mówił sobie. — Czego lepszego się doczekam? Trzeba tentować.

Ba! ale tu wojna za pasem. Ręka zdrowa. Wstyd rycerzowi w zaloty chodzić, gdy ojczyzna ręce wyciąga i ratunku prosi. Pan Michał miał zacne serce żołnierskie, i choć od pacholęcia prawie służył, choć we wszystkich wojnach, jakie za jego czasów były, udział brał — wiedział przecie co ojczyźnie winien i o spoczynku nie myślał.

Ale właśnie dlatego, że nie dla zysków, zasług, chlebów, jeno z duszy całej ojczyźnie służył i sumienie miał pod tym względem czyste, czuł swą wartość, i to dodawało mu otuchy.

— Inni się warcholili, a jam się bił — myślał sobie. — Pan Bóg żołnierzykowi nagrodzi i teraz mu dopomoże.

Poznał jednak, że skoro nie było czasu na zaloty, trzeba było prędko działać i wszystko odrazu na hazard [1] wystawić: pojechać, oświadczyć się z miejsca, i albo po przyśpieszonych zapowiedziach ślub wziąć, albo zjeść arbuza [2].

— Jadłem nieraz, zjem i teraz! — mruczał pan Wołodyjowski, ruszając żółtemi wąsikami. — Co mi szkodzi!

Była jednak pewna strona w tem nagłem postanowieniu, która mu się nie podobała. Oto zadawał sobie pytanie: czy jadąc

---

[1] tu: los szczęścia. [2] spotkać się z odmową ręki.

z oświadczeniem tak zaraz po uratowaniu panny, nie będzie podobny do natrętnego wierzyciela, który chce, aby mu jak najprędzej i z lichwą dług spłacono?

— Może to i nie będzie po kawalersku? Ba! ale za cóż żądać wdzięczności, jeśli nie za usługę? A jeśli ów pośpiech nie pójdzie po sercu pannie, jeśli się nań skrzywi, to jej przecie można powiedzieć: „Mościa panno, rokbym w zaloty jeździł i w ślepki ci patrzył, alem żołnierz, a tam trąby na wojnę grają!“

— Taki pojadę! — mówił sobie pan Wołodyjowski.

Lecz po chwili znowu inna myśl przyszła mu do głowy. A jeśli ona odpowie: „Idźże waćpan na wojnę, mości żołnierzu, a po wojnie będziesz rok do mnie jeździł i w ślepki mi patrzył, bo ja człowiekowi, którego nie znam, duszy i ciała odrazu nie oddam“.

Wtedy wszystko przepadnie.

Że przepadnie, czuł to pan Wołodyjowski doskonale; bo pominąwszy pannę, którą przez ten czas inny wziąć może, nie był pan Wołodyjowski pewny własnej stałości. Sumienie mu to mówiło, że w nim samym afekt zapalał się, bywało, tak jak słoma, ale i gasł jak słoma.

Wtedy wszystko przepadnie!... I kołataj-że się dalej, żołnierzu, tułaczu, z obozu do obozu, z bitwy na bitwę, bez dachu na świecie, bez duszy żywej bliskiej. Rozglądaj się po

wojnie na cztery strony świata, nie wiedząc, gdzie głowę poza cekhauzem złożyć!

Ostatecznie pan Wołodyjowski nie wiedział, co czynić.

Ciasno mu się jakoś uczyniło w pacunelskim dworku i duszno, więc wziął czapkę, by wyjść trochę na drogę i słońca majowego zażyć. W progu natknął się na jednego z ludzi Kmicicowych, w niewolę wziętych, któren staremu Pakoszowi przypadł w udziale. Kozak grzał się na słońcu i na bandurze [1] brzdąkał.

— A co ty tu robisz? — zapytał pan Wołodyjowski.

— Hraju [2], pane — odpowiedział Kozak, podnosząc wynędzniałą twarz.

— Skąd ty jesteś? — pytał dalej pan Michał, kontent, że ma jakowąś w rozmyślaniach przerwę.

— Zdaleka, pane, z pod Wiahla.

— Czemużeś to nie umknął, jako reszta twoich towarzyszów? O, tacy synowie! Darowała was szlachta życiem w Lubiczu, by mieć robociznę, a wyście zaraz poumykali, zaledwie z was łyka zdjęto.

— Ja nie ucieknę. Tu zdechnę, jak sobaka.

— Tak-żeś tu sobie upodobał?

— Komu lepiej na polu, to umyka, a mnie tu lepiej. Ja miał nogę przestrzeloną, a tu

---

[1] rodzaj lutni. [2] gram.

mnie ją obwinęła szlachcianka, starego córka, i dobre słowo rzekła. Takiej ja krasawicy na oczy nie widział... Naco mnie odchodzić?

— Któraż ci tak dogodziła?

— Marysia.

— I ty już ostaniesz?

— Jeśli zdechnę, to i wyniosą, a nie, to ostanę.

— Zali myślisz u Pakosza córkę wysłużyć?

— Ne znaju, pane.

— Pierwejby takiemu hołyszowi śmierć dał, niż córkę.

— U mnie czerwieńce w lesie zakopane: dwie garści.

— Z rozboju?

— Z rozboju, pane.

— Choćbyś i garniec miał, toś chłop, a Pakosz szlachcic.

— Ja z bojarów putnych [1].

— Jeśliś ty z bojarów putnych, toś gorzej niż chłop, boś zdrajca. Jakże to mogłeś nieprzyjacielowi służyć?

— Ja mu i nie służył.

— A skądże was pan Kmicic brał?

— Z gościńca. Ja służył u pana hetmana polnego, ale potem chorągiew rozlazła się, bo nie było co jeść. Do domu nie miałem poco

---

[1] drobnej, napół schłopiałej szlachty, która wobec możniejszych właścicieli ziemskich miała obowiązek dostarczać ludzi i koni do przewożenia przesyłek, zleceń, i t. d.

wracać, bo spalony. Inni na gościniec poszli rozbijać, tak i ja z nimi poszedł.

Pan Wołodyjowski zdziwił się mocno, gdyż aż dotąd sądził, że pan Kmicic napadł Oleńkę z siłami, pożyczonemi u nieprzyjaciela.

— To pan Kmicic nie od Trubeckiego [1] was dostał?

— Było między nami najwięcej takich, co przedtem u Trubeckiego i Chowańskiego służyli, ale tak i od nich zbiegli na gościńce.

— I dlaczego wy za panem Kmicicem poszli?

— Bo on sławny ataman. Nam mówili, że na kogo on krzyknie, żeby za nim szedł, to jakby mu talarów w mieszek nasypał. Dlatego my poszli. No, Bóg nie poszczęścił!

Pan Wołodyjowski począł głową kręcić i rozmyślać, że jednak tego Kmicica zanadto uczerniono; potem spojrzał na wybladłego bojarczyka i znów głową pokręcił.

— Tak-że ty ją miłujesz?

— Oj! tak, pane!

Pan Wołodyjowski odszedł, a odchodząc pomyślał: „Ot! rezolutny człowiek. Ten sobie głowy nie łamał: pokochał i zostaje. Tacy najlepsi... Jeśli naprawdę on z putnych bojarów, toć to tenże gatunek, co i zaściankowa szlachta. Jak swoje czerwieńce wygrzebie, może mu stary Marysię odda. A czemu? Bo

[1] kniazia moskiewskiego, walczącego przeciw Polsce.

w palce nie stukał, jeno się zawziął, że ją dostanie. Zawezmę się i ja!“

Tak rozmyślając, szedł pan Wołodyjowski drogą, po słońcu, czasem stawał i w ziemię oczy wbijał lub je w niebo podnosił; to znów szedł dalej, aż nagle ujrzał lecące po niebie stadko dzikich kaczek.

Wówczas począł sobie z nich wróżyć: jechać, nie jechać?... Wypadło mu, żeby jechać.

— Pojadę, nie może być inaczej!

To rzekłszy, zawrócił do domu; ale po drodze wstąpił jeszcze do stajenki, przed którą dwóch czeladniczków jego w kości grało.

— Syruć, — rzekł pan Wołodyjowski, — a grzywa u Basiora zapleciona?

— Zapleciona, panie pułkowniku!

Pan Wołodyjowski wszedł do stajni. Basior odezwał mu się od drabinki; rycerz zbliżył się, poklepał go po boku, następnie jął liczyć warkocze na karku.

— Jechać... nie jechać... jechać...

Wróżba wypadła znów pomyślnie.

— Konie siodłać i samym się przybrać uczciwie! — zakomenderował pan Wołodyjowski.

Zaczem prędko już poszedł do domu i począł się stroić. Wdział buty wysokie, rajtarskie, żółte, z klapkami na podbiciu i złoconemi ostrogami, a mundur nowy, czerwony; do tego rapierek w stalowej pochwie, przedni,

z gardą [1] złotem przerabianą; do tego półpancerzyk z jasnej stali, pokrywający tylko wierzchnią część piersi pod szyję; miał i kołpaczek rysi z pięknem piórem czaplem, ale że ten do polskiego tylko ubioru pasował, więc go zostawił w skrzyni, a na głowę wdział hełm szwedzki z czółenkiem [2] i wyszedł przed ganek.

— Gdzie to wasza miłość jedzie? — pyta go stary Pakosz, siedzący na przyzbie [3].

— Gdzie jadę? Słuszna, abym tej tam waszej panny o zdrowie spytał, bo za grubijaninaby mnie wziąć mogła.

— Od waszej miłości aż łuna bije. Kiep każdy gil! Jużby chyba panna oczu nie miała, żeby się zaraz nie zakochała...

Wtem nadbiegły dwie młodsze panny Pakoszówny, wracające z południowego udoju, każda ze skopkiem [4] w ręku. Ujrzawszy pana Wołodyjowskiego, stanęły jak wryte ze zdziwienia.

— Król, nie król? — rzekła Zonia.

— Wasza miłość jak na wesele! — dodała Maryśka.

— Może z tego i wesele być, — zaśmiał się stary Pakosz, — bo do panny naszej jedzie.

Nim stary skończył, napełniony skopek wy-

---

[1] metalową osłoną ręki przy rękojeści szabli. [2] o bocznych brzegach (skrzydłach), podwiniętych w górę tak, że zboku widziane przedstawiały kształt łódeczki, z dziobami wygiętemi nad karkiem i czołem. [3] ławie, usypanej z ziemi pod ścianą domu. [4] drewnianem naczyniem na mleko.

leciał z rąk Marysi, i struga mleka polała się aż pod nogi pana Wołodyjowskiego.

— Uważaj na to, co trzymasz! — rzekł gniewliwie Pakosz — ot, koza!

Marysia nie odrzekła nic, podniosła skopek i odeszła cicho.

Pan Wołodyjowski siadł na koń, za nim uszykowało się dwóch jego czeladniczków, i ruszyli trójką ku Wodoktom. Dzień był piękny. Słońce majowe grało na napierśniku i hełmie pana Wołodyjowskiego, tak, iż gdy zdaleka migotał między wierzbami, zdawało się, że to drugie słońce posuwa się drogą.

— Ciekaw jestem, czy będę wracał z pierścionkiem, czy arbuzem? — rzekł do siebie rycerz.

— Co wasza miłość mówi? — spytał pachołek Syruć.

— Głupiś!

Pachołek ściągnął napowrót wtył konia, a pan Wołodyjowski mówił dalej:

— Całe szczęście, że to nie pierwszyzna.

Ta myśl dodawała mu nadzwyczajnej otuchy.

Gdy przybył do Wodoktów, panna Aleksandra nie poznała go w pierwszej chwili, aż jej musiał nazwisko swoje powtórzyć. Wówczas powitała go uprzejmie, ale poważnie i z pewnym przymusem; on zaś wcale się zręcznie przedstawił, bo choć żołnierz, nie dworak, długo jednak na różnych dworach przebywał i między ludźmi się ocierał. Skło-

nił się jej więc ze czcią wielką, i rękę na sercu położywszy, tak mówił:

— Przybyłem tu o zdrowie waćpanny dobrodziejki się wywiedzieć, czyli od strachu jakiego szwanku nie poniosło, co powinienbym był na drugi dzień uczynić, ale nie chciałem się naprzykrzać.

— Bardzo to pięknie ze strony waszmości, że ocaliwszy mnie z takiej toni, jeszcześ mnie w pamięci zachował... Siadaj waszmość, boś mi wdzięcznym gościem.

— Moja mościa panno! — odpowiedział pan Michał. — Gdybym ja o waćpannie zapomniał, tedy nie byłbym godny tej łaski, jaką Bóg na mnie zesłał, pozwalając mi tak godną personę sekundować.

— Nie! Jam to winna Bogu dziękować naprzód, a waszmości zaraz potem...

— Kiedy tak, to już dziękujmy oboje, bo ja o nic więcej Go nie proszę, jeno żebym i nadal mógł bronić waćpanny, ile razy będzie potrzeba.

To rzekłszy, pan Wołodyjowski ruszył woskowanemi wąsikami, które mu wyżej nosa sterczały, — bo kontent był z siebie, że odrazu wszedł in medias res [1] i swój sentyment jakoby na stole położył. Ona zaś siedziała zmieszana i milcząca, ale tak piękna, jak dzień wiosenny. Słabe rumieńce wystąpiły jej na

---

[1] do rzeczy właściwej.

policzki, a oczy nakryła długiemi rzęsami, od których padały cienie na jagody.

— Dobry znak ta konfuzja — pomyślał pan Wołodyjowski.

I odchrząknąwszy, mówił dalej:

— Waćpanna wiesz, żem ja po jej dziadku laudańskimi ludźmi dowodził?

— Wiem — odpowiedziała Oleńka; — dziaduś nieboszczyk sam na ostatnią wyprawę iść nie mógł, ale okrutnie był rad, słysząc, komu książę wojewoda wileński tę chorągiew oddał, i mówił, że zna waćpana z reputacji jako sławnego żołnierza.

— Tak-że to o mnie mówił?

— Sama słyszałam, jak waści pod niebiosa wynosił, a potem laudańscy ludzie to samo po wyprawie czynili.

— Prosty ja żołnierz, niegodzien, żeby mnie wynosili nietylko pod niebiosa, ale i wyżej od innych. Wszelako rad jestem, żem dla waćpanny niezupełnie obcy, bo już nie pomyślisz, że ci nieznany i niepewny gość razem z deszczem ostatnim z chmur spadł. Milej to zawsze wiedzieć, z kim się ma do czynienia. Siła ludzi się włóczy, którzy się familjantami powiadają i w godności stroją, a Bóg wie kim są, może często i nie szlachtą.

Pan Wołodyjowski umyślnie tak nakierował rozmowę, aby o sobie mógł powiedzieć, co zacz jest, jakoż Oleńka zaraz odrzekła:

— Waćpana o to nikt nie posądzi, bo i tu na Litwie jest szlachta tego samego imienia.

— Ale ci się Osorją pieczętują, a jam jest Korczak Wołodyjowski i my się z Węgier wywodzimy, od pewnego dworzanina Attyli [1], który dworzanin, ścigany będąc od nieprzyjaciół, ślub Najświętszej Pannie uczynił, iż się z pogańskiej wiary na katolicką nawróci, jeśli z żywotem ujdzie. Tej obietnicy dotrzymał, gdy trzy rzeki szczęśliwie przebył, te same właśnie, które w herbie nosimy.

— To waćpan nie z tych stron rodem?

— Nie, mościa panno. Ja z Ukrainy, z ruskich Wołodyjowskich, i do tej pory mam tam wioszczynę, którą teraz nieprzyjaciel zajął, ale ja wojskowo od młodu służę, mniej dbając o substancję, niż o despekta [2] ojczyźnie przez postronnych czynione. Służyłem od najmłodszych lat u wojewody ruskiego, naszego nieopłakanego księcia Jeremjasza, z którym też wszystkie wojny odprawowałem. Byłem i pod Machnówką i pod Konstantynowem i zbaraskie wytrzymywałem głody, a po beresteckiej sam nasz pan miłościwy za głowę mnie ścisnął. Bóg mi świadek, mościa panno, że nie przyjechałem się tu chwalić, ale chcę, byś waćpanna wiedziała, żem nie łuszczybochenek żaden, który krzykiem nad-

[1] wodza Hunnów, który najechał Europę, usadowił się w Pannonji (Węgry) i stąd szerzył podboje daleko na zachód i południe. [2] tu: szkody.

rabia, a krwi żałuje, jeno że mi życie w uczciwej służbie zbiegło, w której się trochę sławy uszczknęło, a sumienia niczem nie zbrudziło. Tak mi Panie Boże dopomóż! A oprócz tego mogą to i godni ludzie poświadczyć!

— Żeby to wszyscy byli do waćpana podobni! — westchnęła panna.

— Waćpannie pewnie na myśli stoi ów gwałtownik, który na nią bezbożną rękę śmiał podnieść?

Panna Aleksandra wbiła oczy w podłogę i nie odrzekła ani słowa.

— Ma on za swoje — mówił dalej pan Wołodyjowski; — choć mi mówiono, że zdrów będzie, to jednak od kary się nie wywinie. Wszyscy zacni ludzie go potępili, i aż nadto, bo powiadają, że się z nieprzyjacielem związał, aby od niego posiłki otrzymać, co jest nieprawda, gdyż ci ludzie, z którymi waćpannę napadł, wcale nie od nieprzyjaciela pochodzą, jeno z gościńca nazbierani.

— Skąd to waćpan wiesz? — spytała żywo panna, podnosząc na pana Wołodyjowskiego swoje niebieskie oczy.

— Od samych tych ludzi. Dziwny to człowiek, ów Kmicic, bo gdym mu sam zdradę przed pojedynkiem zadał, tedy nie zaprzeczył, chociaż niesłusznie go posądziłem. Pycha widać w nim djabelska.

— I waćpan to mówisz wszędy, że on nie zdrajca?

— Nie mówiłem, bom sam nie wiedział, ale teraz będę mówił. Toć nie godzi się, choćby na największego wroga, takiego oszczerstwa rzucać.

Oczy panny Aleksandry spoczęły po raz wtóry na małym rycerzu z wyrazem sympatji i wdzięczności.

— Z waćpana tak zacny człowiek, tak zacny, jak rzadko!...

Pan Wołodyjowski zaczął raz po raz ruszać wąsikami z ukontentowania.

— Do rzeczy Michałku! — rzekł do siebie w myśli.

Poczem głośno do panny:

— Więcej waćpannie powiem!... Sposób pana Kmicica ganię, ale nie dziwię mu się, że się dobijał o waćpannę, przy którejby sama Wenus za dziewkę służyć mogła. Desperacja to go popchnęła do złego uczynku i pewnie raz jeszcze go popchnie, jeśli mu się sposobność nadarzy. Jakże to przy tak nadzwyczajnej urodzie sama i bez opieki zostaniesz? Więcej jest takich Kmiciców na świecie, więcej zapałów wzbudzisz, na więcej przygód cnotę swą narazisz. Bóg mi zesłał łaskę, iżem mógł cię uwolnić, ale już mnie trąby Gradywa wołają... Któż nad tobą będzie czuwał?... Moja mościa panno! posądzają żołnierzy o płochość, ale niesłusznie. I u mnie serce nie ze skały, i obojętne na tyle wybornych wdzięków zostać nie mogło.

Tu pan Wołodyjowski upadł na oba kolana przed Oleńką.

— Moja mościa panno! — mówił klęcząc. — Dziedziczyłem chorągiew po twoim dziadku, dozwólże mi i wnuczkę odziedziczyć. Zdaj mnie opiekę nad sobą, dozwól pokosztować słodkości wzajemnego afektu, weź mnie za stałego opiekuna, a będziesz i spokojna i bezpieczna, bo choć odjadę na wojnę, samo imię bronić cię będzie.

Panna zerwała się z krzesła i słuchała ze zdumieniem pana Wołodyjowskiego, a on tak jeszcze mówił dalej:

— Ubogim żołnierz, alem szlachcic i człek uczciwy, i na to ci przysięgam, że ni na mojej tarczy, ni na mojem sumieniu najmniejszej plamy nie znajdziesz. Grzeszę może pośpiechem, ale i to wyrozumiej, bo mnie ojczyzna woła, której dla ciebie nawet nie odstąpię... Nie pocieszysz-że mnie? nie dodasz otuchy? nie rzekniesz dobrego słowa?

— Waćpan żądasz ode mnie niepodobieństwa... Na Boga! Nie może to być! — odpowiedziała ze strachem Oleńka.

— Od twojej woli zależy...

— Właśnie dlatego wręcz waćpanu odpowiadam: nie!

Tu panna zmarszczyła brwi.

— Mości panie! winnam ci wiele, nie zapieram. Żądaj czego chcesz, wszystkom oddać gotowa, prócz ręki.

Pan Wołodyjowski wstał.

— Waćpanna mnie nie chcesz? hę?

— Nie mogę!

— I to ostatnie słowo waćpanny?

— Ostatnie i nieodwołalne.

— A może jeno pośpiech waćpannie się nie podoba? Dajże mnie nadzieję!

— Nie mogę, nie mogę...

— Niemasz tedy tu dla mnie szczęścia, jako go i gdzieindziej nie było! Moja mościa panno, nie ofiarujże mi zapłaty za usługę, bom nie po nią przyjechał, a żem ręki prosił, to nie za zapłatę, jeno po dobrej woli. Gdybyś mi rzekła, że ją oddajesz, bo musisz, to takżebym nie przyjął. Jak niema woli, to niema i doli. Wzgardziłaś mną... bodaj ci się nikt gorszy nie trafił. Wychodzę z tego domu, jak i wszedłem... jeno że nie powrócę więcej. Za nic mnie tu mają. Niech i tak będzie. Bądźże szczęśliwa choćby z tym samym Kmicicem, boś może właśnie o to gniewna, żem między was szablę włożył. Kiedy on ci lepszy, toś ty istotnie nie dla mnie.

Oleńka chwyciła się rękoma za skronie i powtórzyła kilkakrotnie:

— Boże, Boże, Boże!

Ale ta jej boleść nie przejednała pana Wołodyjowskiego, który skłoniwszy się, wyszedł zły i gniewny; poczem zaraz siadł na koń i odjechał.

— Noga moja więcej tam nie postoi — rzekł głośno.

Pachołek Syruć, jadący ztyłu, przysunął się zaraz.

— Co wasza mość mówi?

— Głupiś! — odpowiedział pan Wołodyjowski.

— To już mnie wasza mość powiedział, jakeśmy w tamtą stronę jechali.

Nastało milczenie; poczem pan Michał znowu mruczeć począł:

— Niewdzięcznością mnie tam nakarmiono... Wzgardą za afekt zapłacono... Przyjdzie chyba do śmierci w kawalerstwie służyć. Tak już napisano... Jechał-że sęk taki los!... Co rusz, to rekuza... Niemasz sprawiedliwości na tym świecie!... Co ona sobie przeciw mnie upatrzyła?

Tu pan Wołodyjowski zmarszczył brwi i począł silnie pracować głową; nagle uderzył się dłonią po nodze.

— Wiem już! — zakrzyknął — ona tamtego jeszcze miłuje... nie może inaczej być.

Ale ta uwaga nie rozjaśniła mu twarzy.

— Tem ci też gorzej dla mnie, — pomyślał po chwili, — bo jeśli ona go po tem wszystkiem jeszcze miłuje, to i nie przestanie go miłować. Co miał uczynić najgorszego, to już uczynił. Na wojnę ruszy, sławy nabędzie, reputację poprawi... I nie przystoi mu w tem przeszkadzać... raczej trzeba dopomóc, bo to dla ojczyzny korzyść... Ot, co jest! żołnierz on dobry... Ale czem ją tak skaptował? kto zgad-

nie... Inni mają już takowe szczęście, że byle na niewiastę spojrzał, ta i w ogień za nim gotowa... Żeby tak wiedzieć, czem się to dzieje, albo jakowego inkluza[1] dostać, możeby i człowiek co wskórał. Zasługą do niczego z białogłową nie dojdziesz! Dobrze powiedział pan Zagłoba, że liszka a niewiasta to najzdradliwsze stworzenie na świecie. A taki żal mi, że wszystko przepadło! Okrutnie to gładka podwika i cnotliwa, jak powiadają. Ambitne to widać, jak licho... Kto to wie, czy ona za niego pójdzie, chociaż go miłuje, bo ją ciężko zawiódł i obraził... Przecie on mógł spokojnie do niej dojść, a wolał się warcholić... Gotowa się całkiem wyrzec i zamążpójścia i dzieci... Mnie ciężko, ale i jej niebodze może jeszcze cięższej...

Tu pan Wołodyjowski rozczulił się nad dolą Oleńki i począł głową kręcić, ustami cmokać, wreszcie rzekł:

— Niech jej tam Bóg sekunduje! Nie mam do niej urazy! Nie pierwsza to dla mnie rekuza, a dla niej pierwsza boleść. Niebożątko ledwie zipie od trosków, jeszczem jej oczy wykłuł tym Kmicicem i doreszty żółcią napoił. Nie godziło mi się tego czynić, i naprawić wypada. Bodaj mnie kule biły, bom po

[1] jakiś drobny przedmiot, z którym przez zaklęcie związano tajemniczą siłę („ducha“), pomocną posiadaczowi tego przedmiotu w osiąganiu zamierzonych celów.

grubijańsku postąpił. Napiszę do niej list, ażeby odpuściła, a potem w czem będę mógł, to i pomogę.

Dalsze rozmyślania pana Wołodyjowskiego przerwał pachołek Syruć, który przysunąwszy się znów, rzekł:

— Proszę waszej mości, toż to tam na górze pan Charłamp z kimś drugim jedzie.

— Gdzie?

— A ot, tam!

— Prawda, że dwóch jeźdźców widać, ale pan Charłamp został się przy księciu wojewodzie wileńskim. Po czemże ty go z tak daleka poznajesz?

— A po bułance. Dyć ją całe wojsko zna.

— Jako żywo, że konia widać bułanego... Ale może być inny.

— Kiedy ja i chód jej poznaję... Już to pan Charłamp z pewnością.

Popędzili obaj konie, a jadący naprzeciw uczynili to samo i wkrótce pan Wołodyjowski poznał, że to istotnie pan Charłamp nadjeżdża.

Był to porucznik piatyhorskiej [1] chorągwi litewskiego komputu, dawny znajomy pana Wołodyjowskiego, stary żołnierz i dobry. Niegdyś wadzili się mocno z małym rycerzem, ale potem, służąc razem i wojny odbywając, polubili się wzajemnie. Pan Wołodyjowski

---

[1] petyhorskiej.

poskoczył tedy żywo i, otworzywszy ręce, wołał:

— Jakże się miewasz, Nosaczu?! Skądżeś się tu wziął?

Towarzysz, który istotnie na przezwisko Nosacza zasługiwał, bo nos miał potężny, wpadł w objęcia pułkownika i witali się radośnie; poczem, odsapnąwszy, rzekł:

— Do ciebiem umyślnie przyjechał z ekspedycją i z pieniędzmi.

— Z ekspedycją i z pieniędzmi? A od kogo?

— Od księcia wojewody wileńskiego, naszego hetmana. Przysyła ci list zapowiedni, abyś zaraz zaczął zaciąg czynić, i drugi dla pana Kmicica, który też się ma w tej okolicy znajdować.

— I dla pana Kmicica?... Jakże to we dwóch będziem w jednej okolicy zaciągali?

— On ma jechać do Troków, a ty masz zostać w tej okolicy.

— Skądżeś to wiedział, gdzie mnie szukać?

— Sam pan hetman pilnie o ciebie wypytywał, aż mu ludzie tutejsi, którzy tam jeszcze służą, powiedzieli, gdzie cię znaleźć, i ja jechałem na pewno... W wielkich tam zawsze jesteś faworach!... Słyszałem księcia naszego pana, jak sam mówił, że nie spodziewał się po wojewodzie ruskim niczego odziedziczyć, a tymczasem największego rycerza odziedziczył.

— Dałby mu Bóg i szczęście wojenne odziedziczyć... Wielki to dla mnie honor, że mam zaciąg czynić, i zaraz się do tego wezmę... Ludzi wojennych tu nie brak, byle było za co ich na nogi postawić. A pieniędzy siła przywiozłeś?

— Jak przyjedziesz do Pacunelów, to policzysz.

— Toś i do Pacunelów już trafił? Strzeż się jeno, bo tam ładnych dziewcząt jak maku w ogrodzie.

— Dlatego to i pobyt ci tam smakował!... Czekajże, mam i drugi list, prywatny, hetmana do ciebie.

— To dawaj!

Pan Charłamp wyjął pismo z małą pieczęcią radziwiłłowską, a pan Wołodyjowski otworzył i zaczął czytać:

„Mości panie pułkowniku Wołodyjowski!

„Znając szczerą Waćpana służenia ojczyźnie intencję, posyłam Ci list zapowiedni, abyś zaciąg czynił, i nie tak, jako się zwyczajnie czyni, ale z pilnością wielką, bo periculum in mora. Chcesz-li nas uradować, to niechże chorągiew na koniec lipca, najdalej na pół sierpnia, będzie już na nogach i do pochodu gotowa. Kłopotliwo nam to, skąd Waszmość koni dobrych weźmiesz, zwłaszcza, że i pieniędzy posyłamy skąpo, gdyż więcej na panu podskarbim, po staremu nam nieprzyjaznym, nie mogliśmy wydębić. Połowę z tych pienię-

dzy panu Kmicicowi J. M. P. oddaj, dla którego pan Charłamp także list zapowiedni wiezie. Spodziewamy się po nim, iż gorliwie nam w tem usłuży. Ale że uszu naszych doszła wieść o jego swawolach w Upickiem, tedy najlepiej Waćpan list dla niego przeznaczony od Charłampa odbierz i sam uznaj, czy mu go oddać. Jeślibyś uważał zbytnie na nim gravamina [1], hańbę czyniące, tedy nie oddawaj; obawiamy się bowiem, aby nieprzyjaciele nasi, jako pan podskarbi i pan wojewoda witebski, krzyków nie podnieśli, że podobne funkcje niegodnym osobom powierzamy. Gdybyś jednak, uznawszy, że tam nic wielkiego niema, list oddał, niechże się Kmicic stara największą w służbie usilnością winy swe zmazać, a na żadne terminy [2] w sądach nie staje, bo on do naszej hetmańskiej należy inkwizycji [3] i my go sądzić będziem, nikt inny, ale po funkcji spełnionej. Polecenie to nasze uważaj W. Mość zarazem za dowód zaufania, jakie w rozumie i wiernych służbach W. Mości pokładamy.

Janusz Radziwiłł,
książę na Birżach i Dubinkach,
wojewoda wileński".

— Okrutnie się tam pan hetman o konie dla ciebie troszczy — rzekł pan Charłamp, gdy mały rycerz skończył czytać.

---

[1] zarzuty, oskarżenia. [2] wyznaczone rozprawy. [3] tu: władzy sądowniczej.

— Pewnie, że o konie będzie trudno — odpowiedział pan Wołodyjowski. — Tutejszej małej szlachty siła stanie na pierwszy odgłos, ale oni jeno mierzyny [1] żmudzkie mają, niebardzo do służby zdatne. Na dobrą sprawę, trzebaby im wszystkim dać inne.

— To dobre konie, znam ja je zdawna, okrutnie wytrwałe i zwrotne.

— Ba! — rzekł pan Wołodyjowski, — ale urody [2] małej, a lud tutejszy rosły. Jak ci na takich koniach w szyku staną, to rzekłbyś: chorągiew na psach siedzi. Ot, kłopot!... Wezmę ja się gorliwie do roboty, bo i samemu mi pilno. Zostawże mnie list zapowiedni do Kmicica, jako pan hetman nakazuje, sam mu go oddam. Bardzo mu w porę przyszedł.

— A czemu?

— Bo tu tatarską modą sobie poczynał i panny w jasyr brał. Tyle nad nim procesów i terminów, ile ma włosów na głowie. Niemasz tygodnia, jak się z nim w szable biłem.

— E! — rzekł Charłamp — jeśliś ty się z nim w szable bił, to on teraz leży.

— Ale już się ma lepiej. Za jaki tydzień, dwa, zdrów będzie. Co tam słychać de publicis?

— Źle, po staremu... Pan podskarbi Gosiewski zawsze z naszym księciem w emula-

---

[1] konie małego wzrostu. [2] wzrostu.

cji, a jak hetmani niezgodni, to i sprawy ładem nie idą. Przecie trochęśmy się poprawili, i tak myślę, że byle zgody, to sobie z tym nieprzyjacielem rady damy. Bóg pozwoli, że jeszcze na ich karkach pojedziemy aż do ich państwa. Wszystkiemu winien pan podskarbi!

— A inni powiadają, że właśnie hetman wielki.

— To zdrajcy. Wojewoda witebski to tak powiada, bo oni się zdawna z panem podskarbim powąchali.

— Wojewoda witebski zacny obywatel.

— Zali i ty po sapieżyńskiej stronie przeciw Radziwiłłom stoisz?

— Ja stoję po stronie ojczyzny, po której wszyscy stać powinni. W tem to i zło, że się nawet i żołnierze na strony dzielim, zamiast bić. A że Sapieha zacny obywatel, tobym i przy samym księciu powiedział, chociaż pod nim służę.

— Próbowali ludzie godni zgodę czynić, ale to na nic! — rzekł Charłamp. — Okrutnie teraz posłańcy od króla do naszego księcia latają... Mówią, że coś się tam nowego na świecie kluje [1]. Spodziewaliśmy się pospolitego ruszenia z królem jegomością — nie przyszło! Powiadają, że gdzie indziej może być potrzebne.

— Chyba na Ukrainę.

---

[1] tu: na coś się zanosi.

— Bo ja wiem? Jeno raz Brochwicz porucznik powiadał, co na własne uszy słyszał. Przyjechał od króla Tyzenhauz do naszego hetmana i coś tam, zamknąwszy się, długo z sobą gadali, czego Brochwicz nie mógł ułowić, ale gdy wychodzili, tedy na własne uszy, powtarzam, słyszał, jak pan hetman mówił: „Z tego może być nowa wojna“. Okrutnieśmy tam wszyscy w głowę zachodzili, co to mogło znaczyć.

— Pewnie się przesłyszał! Z kimżeby nowa wojna? Cesarz lepiej nam teraz życzy, niż naszym nieprzyjaciołom, jako że wypada mu za politycznym narodem się ujmować. Ze Szwedem rozejm jeszcze nie wyszedł i do sześciu lat nie wyjdzie, a Tatarowie nam na Ukrainie pomagają, czegoby bez woli Turczyna nie czynili.

— Nie mogliśmy też i my niczego dociec!

— Bo i nic nie było. Ale ja chwalę Boga, że mam nową robotę. Już mi się i tęskno czyniło za wojną.

— To ty chcesz sam list zapowiedni Kmicicowi zawieźć?

— Przeciem ci mówił, że pan hetman tak nakazuje. Wypadnie mi Kmicica odwiedzić, jako kawalerski jest zwyczaj, a mając list, będę miał lepsze jeszcze zamówienie [1].

---

[1] upozorowanie odwiedzin.

Czy mu list oddam, to inna rzecz; namyślę się, bo to woli mojej zostawiono.

— Mnie to i na rękę, ile że mi w drogę pilno. Mam i trzecie zapowiednie pismo, do pana Stankiewicza; potem do Kiejdan kazano mi jechać, armatę, która tam przyjdzie, odebrać; potem do Birż, obaczyć, czy wszystko gotowe w zamku do obrony.

— I do Birż?

— Tak jest.

— To mi i dziwno. Żadnych nowych wiktoryj nieprzyjaciel nie otrzymał, więc mu i do Birż, na kurlandzką granicę, daleko. A że, jako widzę, nowe chorągwie stawią na nogi, więc będzie komu bronić nawet i tych krajów, które już pod moc nieprzyjacielską wpadły. Kurlandczycy przecie o wojnie z nami nie myślą. Dobrzy to żołnierze, ale ich mało, i sam tylko Radziwiłł mógłby ich jedną ręką przydusić.

— I mnie to dziwno, — odpowiedział Charłamp, — tem bardziej, że mi także pośpiech zalecono i taką dano instrukcję, iżbym, jeśli co znajdę nie w porządku, zaraz księciu Bogusławowi dawał znać, który Petersona inżyniera ma przysłać.

— Coby to mogło być?! Oby się tylko na jaką wojnę domową nie zanosiło. Niechże nas Bóg od tego strzeże! Już jak tam tylko książę Bogusław do roboty wchodzi, to djabłu będzie z tego uciecha.

— Nie mów na niego nic. To mężny pan!

— Nie neguję ja mu męstwa, ale więcej w nim Niemca czyli jakowegoś Francuza, niż Polaka... I o Rzeczpospolitą zgoła nie dba, jeno o dom radziwiłłowski, żeby to go jak najwyżej wynieść, a wszystkich innych poniżyć. On to i w księciu wojewodzie wileńskim, naszym hetmanie, pychę podnieca, której mu i bez tego nie brak, i owe kłótnie z Sapiehami i Gosiewskim, jego to sadzenia drzewa i frukta.

— Wielki z ciebie, jak widzę, statysta. Powinieneś się, Michałku, co prędzej ożenić, żeby taki rozum nie przepadł.

Wołodyjowski spojrzał przeciągle na towarzysza.

— Ożenić?... Hę?

— Juści! A może ty tu gdzie w konkury jeździsz, boś widzę strojny, jak na paradę.

— Dałbyś spokój!

— Ej, przyznaj się...

— Każdy niech swoje arbuzy zjada, a ty o cudze nie pytaj, boś też niejednego dostał. Właśnie też czas teraz o ożenku myśleć, gdy mam zaciąg na głowie.

— A będziesz na lipiec gotowy?

— Na koniec lipca będę, choćbym miał konie z pod ziemi wykopać. Bogu dziękuję, że mi ta robota przyszła, bo inaczej byłaby mnie melankolja zjadła.

Jakoż wieści od hetmana i widoki pracy ciężkiej wielką sprawiły panu Wołodyjowskiemu ulgę, i nim dojechali do Pacunelów, prawie nie myślał już o konfuzji, jaka go przed godziną spotkała. Wieść o liście zapowiednim szybko się rozleciała po całym zaścianku. Przyszła zaraz szlachta pytać, czy prawda, a gdy pan Wołodyjowski potwierdził, wielkie to uczyniło wrażenie. Ochota była powszechna, lubo turbowali się niektórzy, że to w końcu lipca, przed żniwami, trzeba będzie wyruszyć. Pan Wołodyjowski rozesłał też gońców i do innych okolic, i do Upity, i do znaczniejszych domów szlacheckich. Wieczorem przyjechało kilkunastu Butrymów, Stakjanów i Domaszewiczów.

Dopieroż poczęto się zachęcać wzajem i coraz większą okazywać ochotę, i odgrażać się na nieprzyjaciół i zwycięstwa sobie obiecywać. Jedni tylko Butrymowie milczeli, ale im tego za złe nie brano, bo wiadomo było, że jak jeden człowiek staną. Nazajutrz zawrzało we wszystkich zaściankach, jak w ulach. Ludzie nie gadali już o panu Kmicicu, ni o pannie Aleksandrze, tylko o przyszłej wyprawie. Pan Wołodyjowski z serca także odpuścił Oleńce rekuzę, pocieszając się przytem myślą, że to nie ostatnia, jako i afekt nie ostatni. Tymczasem namyślał się trochę, co ma z listem dla Kmicica uczynić.

ROZDZIAŁ II

Zaczęły się tedy dla pana Wołodyjowskiego czasy ciężkiej pracy, rozpisywania listów i rozjazdów. Następnego tygodnia przeniósł się już na rezydencję do Upity i tam zaciąg rozpoczął. Sypała się do niego szlachta chętnie, większa i mniejsza, bo sławę miał głośną. Szczególnie jednak szli laudańscy, którym konie trzeba było obmyślać. Kręcił się też pan Wołodyjowski, jak w ukropie, ale że był obrotny i trudów nie żałował, szło mu dość sporo. W tymże czasie odwiedził i pana Kmicica w Lubiczu, który znacznie już do zdrowia przyszedł, i chociaż z łóżka jeszcze nie wstawał, wiadomo już było, że zdrów będzie. Widocznie, o ile pan Wołodyjowski miał szablę ciężką, o tyle rękę lekką.

Poznał go pan Kmicic natychmiast i przybladł trochę na jego widok. Ręką nawet mimowoli do szabli wiszącej nad łożem sięgnął, ale ochłonąwszy, widząc uśmiech na twarzy gościa, wyciągnął ku niemu wychudłą dłoń i rzekł:

— Dziękuję waszmości za odwiedziny. Godna to takiego kawalera polityka.

— Przyjechałem spytać, czy waść urazy do mnie nie chowasz? — spytał pan Michał.

— Urazy nie chowam, bo mnie nie lada kto zwyciężył, ale gracz pierwszej wody. Ledwie żem się wylizał.

— A jakże zdrowie waszmościne?

— Waćpanu dziw pewno, żem z pod jego ręki żyw wyszedł? Sam też sobie przyznaję, że niemała to sztuka.

Tu pan Kmicic uśmiechnął się:

— No, nie stracona sprawa. Dokończysz mnie, kiedy zechcesz!

— Wcale nie w tym zamiarze tu przyjechałem...

— Chybaś waszmość djabeł — przerwał Kmicic, — albo masz inkluza. Bóg widzi, daleko mi teraz do samochwalstwa, bo z tamtego świata wracam, alem to sobie przed spotkaniem waćpana zawsze myślał: jeżelim nie pierwszy w Rzeczypospolitej na szable, tom drugi. Tymczasem — niesłychana rzecz! Toż jabym pierwszego cięcia nie odbił, gdyby waćpan chciał. Powiedz mi, gdzieś się tak wyuczył?

— Miało się trochę przyrodzonych zdolności, — odrzekł pan Michał, — i ojciec od małego wkładał, który nieraz mi mówił: „Dał ci Bóg nikczemną postać, jeśli się ludzie nie będą ciebie bali, to się będą z ciebie śmieli". Potem też u wojewody ruskiego w chorągwi służąc, douczyłem się reszty. Było tam kilku mężów, którzy śmiało mogli mi stawić czoło.

— Aza mogli być tacy?

— Mogli, bo byli. Był pan Podbipięta, Litwin, wielki familjant, który w Zbarażu poległ — Panie świeć nad jego duszą! — człek

tak olbrzymiej siły, że mu się niepodobna było zastawić, bo mógł przeciąć zastawę i przeciwnika. Potem był jeszcze i Skrzetuski, przyjaciel mój serdeczny i konfident, o którym waść musiałeś słyszeć.

— Jakże! On to ze Zbaraża wyszedł i przez Kozaków się przedarł. Kto o nim nie słyszał!... To waść z takiej sfory!? i zbarażczyk?... Czołem! czołem! Czekajże!... przecie i ja o waćpanu u wojewody wileńskiego słyszałem. Wszak waszmości Michał na imię?

— Właściwie, to ja jestem Jerzy Michał, ale że święty Michał całemu komunikowi niebieskiemu przewodzi, i tyle już nad piekielnemi chorągwiami odniósł wiktoryj, przeto jego wolę mieć za patrona.

— Pewnie, że Jerzemu nie równać się z Michałem. Toś to waćpan ten sam Wołodyjowski, o którym powiadano, że Bohuna usiekł?

— Jam jest.

— No, od takiego nie żal po łbie dostać. Dałby Bóg, żebyśmy przyjaciołmi mogli zostać. Waćpan to mnie wprawdzie zdrajcą okrzyknąłeś, aleś się w tem pomylił.

To rzekłszy, pan Kmicic ściągnął brwi, jakby go rana na nowo zabolała.

— Przyznaję, żem się pomylił, — odrzekł pan Wołodyjowski, — ale nie od waćpana o tem dopiero się dowiaduję, bo mi to już ludzie twoi powiadali. I wiedz waszmość o tem, że inaczej nie byłbym tu przyjeżdżał.

— Już ostrzyli, bo ostrzyli tu na mnie języki! — mówił z goryczą Kmicic. — Niech będzie co chce. Niejedna jest kreska na mnie, przyznaję, ale też i w tej okolicy ludzie niewdzięcznie mię przyjęli...

— Waść sobie najwięcej zaszkodziłeś tem spaleniem Wołmontowicz i ostatnim raptem[1].

— To też mnie procesami gnębią. Leżą już u mnie terminy do sądów. Choremu przyjść do zdrowia nie dadzą. Spaliłem Wołmontowicze, prawda, i ludzi coś się wysiekło; niechże mnie jednak Bóg sądzi, jeślim to ze swawoli uczynił. Tej samej nocy, przed spaleniem, ślub sobie zrobiłem, żyć ze wszystkimi w zgodzie, zjednać sobie owych tutejszych szaraczków, załagodzić nawet łyczków w Upicie, bo tam istotnie podswawoliłem. Wracam tedy do dom, i cóż zastaję? Oto moich kompanjonów porżniętych jak woły, leżących pod ścianą! Gdym się dowiedział, że to Butrymowie uczynili, wtedy djabeł we mnie wstąpił... i zemściłem się srogo... Czy waść uwierzy, za co ich porżnięto?... Sam się o tem później dowiedziałem od jednego z Butrymów, którego w lasach napadłem: oto za to, że potańcować w karczmie z szlachciankami chcieli... Ktoby się nie mścił?

— Mój mości panie! — odpowiedział Wołodyjowski, — prawda, że za ostro postąpiono

[1] porwaniem.

z waćpana kompanami, ale czy to ich szlachta pobiła? Nie! Pobiła ich dawniejsza reputacja, jaką tu ze sobą gotową przywieźli, bo żeby tak grzecznym jakim żołnierzom zachciało się potańcować, pewnieby ich za to nie sieczono.

— Niebożęta! — mówił Kmicic, idąc za swoją myślą, — gdym teraz oto w gorączce leżał, co wieczora wchodzili temi oto drzwiami, z tamtej oto izby... Widziałem ich koło łoża, jako na jawie, sinych, zbitych, a ciągle jęczeli: „Jędruś! daj na mszę za nasze dusze, bo męki cierpimy!“ To, mówię waści, włosy mi na głowie powstawały, bo i siarką od nich w izbie pachniało... Na mszę już dałem, oby im to co pomogło!

Nastała chwila milczenia.

— A co do raptu, — mówił dalej Kmicic, — waćpanu o tem nikt nie mógł powiedzieć, że ona ocaliła mi wprawdzie życie, gdy mnie szlachta ścigała, ale potem kazała iść precz i nie pokazywać się na oczy. Co mi wówczas pozostało?!

— Zawsze to tatarski był sposób.

— Chyba waćpan nie wiesz, co jest afekt, i do jakiej desperacji człowiek przyjść może, gdy to, co najwięcej umiłował, utraci.

— Ja nie wiem, co jest afekt! — zakrzyknął z oburzeniem pan Wołodyjowski. — Od czasu jak szablę począłem nosić, zawsze byłem zakochany... Prawda, że się subie-

ctum [1] zmieniało, bo nigdy mi wzajemnością nie wypłacono. Gdyby nie to, nie byłoby wierniejszego nade mnie Troila [2].

— Jaki tam i afekt, gdy się subiectum zmienia!... — rzekł Kmicic.

— Tedy waści powiem co innego, na co własnemi oczyma patrzyłem. Oto pierwszego czasu chmielnicczyzny, Bohun, ten sam, który dziś po Chmielnickim największą cieszy się między Kozactwem powagą, porwał Skrzetuskiemu umiłowaną nad wszystko dziewkę, kniaziównę Kurcewiczównę. To był dopiero afekt! Całe wojsko płakało, widząc Skrzetuskiego desperację, bo mu broda w dwudziestym którymś roku życia zbielała, a on zgadnij waść co uczynił?

— Skąd mam wiedzieć!

— Oto, że ojczyzna była w potrzebie, w poniżeniu, że okrutny Chmielnicki triumfował, więc on wcale nie poszedł dziewki szukać. Boleść Bogu ofiarował i bił się we wszystkich bitwach pod księciem Jeremim, aż pod Zbarażem tak nadzwyczajną chwałą się okrył, że dziś imię jego wszyscy ze czcią powtarzają. Przyłóż-że waćpan teraz jego uczynek do swojego i poznaj różnicę.

Kmicic milczał i gryzł wąsy, Wołodyjowski mówił dalej:

---

[1] tu: przedmiot uczucia, osobę miłowaną. [2] kochanka; od imienia bohatera trojańskiego, uchodzącego za wzór wiernego kochanka.

— To też Skrzetuskiego Bóg wynagrodził i dziewkę mu oddał. Zaraz po Zbarażu się pobrali i już troje dzieci spłodzili, chociaż on służyć nie przestał. A waszmość, zamieszki czyniąc, pomagałeś tem samem nieprzyjacielowi i małoś żywota nie utracił, nie mówiąc o tem, że przed paru dniami mogłeś pannę na zawsze utracić.

— Jakim sposobem? — rzekł, siadając na łóżku, Kmicic — co się z nią działo?

— Nic się na działo, jeno znalazł się mąż, który ją o rękę prosił i za żonę chciał pojąć.

Kmicic pobladł bardzo, zapadnięte jego oczy poczęły ciskać płomienie. Chciał wstać, zerwał się nawet na chwilę, i krzyknął:

— Kto był ten wraży syn? Na żywy Bóg, mów waszmość!

— Ja — rzekł pan Wołodyjowski.

— Waćpan? waćpan? — pytał ze zdumieniem Kmicic. — Jakto?...

— Tak jest.

— Zdrajco! nie ujdzie ci to!... I ona?... na żywy Bóg, mów już wszystko!... ona cię przyjęła?...

— Odpaliła z miejsca i bez namysłu.

Nastała chwila milczenia. Kmicic oddychał ciężko i oczyma wpijał się w Wołodyjowskiego, ten zaś rzekł:

— Czemu to mnie zdrajcą nazywasz? Zalim ci brat, albo swat? Zalim ci wiarę zła-

mał? Zwyciężyłem cię w boju i mogłem czynić co mi się podobało.

— Po staremu jedenby z nas to krwią zapieczętował. Nie szablą, to z rusznicybym waćpana ustrzelił, i niechby mnie djabli potem wzięli.

— Chybabyś mnie z rusznicy zastrzelił, bo gdyby mnie nie była odpaliła, tobym i pojedynku drugiego nie przyjął. Poco miałbym się bić? A wiesz, czemu mnie odpaliła?

— Czemu? — powtórzył jak echo Kmicic.

— Bo ciebie miłuje.

Było to więcej, niż słabe siły chorego znieść mogły. Głowa Kmicica opadła na poduszki, na czoło wystąpił mu pot obfity, i leżał czas jakiś w milczeniu.

— Okropnie mi słabo — rzekł po chwili.— Skądże... to waść wiesz, że ona... mnie miłuje?

— Bo mam oczy i patrzę, bo mam rozum i miarkuję; teraz zwłaszcza, gdym rekuzę dostał, zaraz mi się w głowie rozjaśniło. Naprzód tedy, gdym po pojedynku przyszedł jej powiedzieć, że jest wolna, bom waćpana usiekł, wnet ją zamroczyło, i zamiast wdzięczność mi okazać, całkiem mnie sposponowała [1]; po wtóre: gdy cię tu Domaszewicze dźwigali, to ci głowę jak matka unosiła; a po trzecie, że gdym się jej oświadczył, tak mnie przyjęła, jakoby mi kto w pysk dał. Jeśli te racje wać-

[1] spostponowała, zlekceważyła.

panu nie wystarczają, to chyba dlatego, żeś przez rozum zacięty i na umyśle szwankujesz.

— Gdyby to była prawda! — odrzekł słabym głosem Kmicic — tedy mi tu różne maści na rany przykładają... ale nie byłoby lepszego balsamu od słów waszmości.

— Zdrajca-że ci to taki balsam przykłada?

— Przebacz już waść. W głowie mi się takie szczęście nie mieści, żeby ona mnie jeszcze chciała.

— Powiedziałem, że waćpana miłuje, nie powiedziałem, że cię zechce... To wcale co innego.

— Jeśli mnie nie zechce, to sobie ten łeb o ścianę rozbiję. Inaczej być nie może.

— Mogłoby być, gdybyś waćpan miał szczerą intencję zmazania win. Teraz wojna, możesz iść, możesz posługi znaczne miłej ojczyźnie oddać, męstwem się wsławić, reputację połatać. Któż to jest bez grzechu? Kto nie ma win na sumieniu? Każdy ma... Ale do pokuty i poprawy każdemu otwarta droga. Waść grzeszyłeś swawolą, to jej odtąd unikaj; grzeszyłeś przeciw ojczyźnie, zamieszki w czasie wojennym czyniąc, to ją teraz ratuj; czyniłeś krzywdy ludziom, to je nagródź... Ot, droga dla waszmości lepsza i pewniejsza, niż rozbijanie sobie łba.

Kmicic patrzył uważnie na Wołodyjowskiego, potem rzekł:

— Waćpan mówisz jak mój szczery przyjaciel.

— Nie jestem waćpana przyjacielem, ale po prawdzie nie jestem i nieprzyjacielem, a tej panny mnie żal, chociaż mnie odpaliła, bom jej też słowo ostre rzekł na odjezdnem. Od rekuzy się nie powieszę, nie pierwszyzna mi, a uraz nie zwykłem chować. Jeżeli więc waćpana na dobrą drogę namówię, to będzie także moja względem ojczyzny zasługa, boś żołnierz dobry i doświadczony.

— Zali mnie czas jeszcze na tę drogą wracać? Tyle terminów na mnie czeka! Z łoża trzeba do sądu zaraz... Chybabym stąd uciekał, a tego nie chcę. Tyle terminów! A co sprawa, to i wyrok pewny na potępienie.

— Ot, tu jest na to lekarstwo! — rzekł pan Wołodyjowski, wydobywając list zapowiedni.

— List zapowiedni! — wykrzyknął Kmicic — dla kogo?

— Dla waćpana! Nie potrzebujesz do żadnych sądów stawać, bo do hetmańskiej inkwizycji należysz; słuchaj zaś, co książę wojewoda mi pisze.

Tu pan Wołodyjowski odczytał Kmicicowi prywatny list Radziwiłła, odetchnął, ruszył wąsikami i rzekł:

— Owóż, jak waćpan widzisz, ode mnie zależy, albo ci list zapowiedni oddać, albo go schować.

Niepewność, trwoga i nadzieja odbiły się na twarzy Kmicica.

— A waćpan co uczynisz? — spytał cichym głosem.

— A ja waszmości list oddaję — rzekł pan Wołodyjowski.

Kmicic nic zrazu nie odrzekł, głowę opuścił na poduszki i patrzył czas jakiś w pułap. Nagle oczy poczęły mu wilgotnieć — i goście nieznani w tych oczach, łzy, zawisły na rzęsach.

— Niechże mnie końmi rozerwą! — rzekł wreszcie, — niech mnie ze skóry obłuszczą, jeślim ja widział zacniejszego człowieka od waszmości... Jeśliś przeze mnie rekuzę dostał, jeśli mnie Oleńka, jak powiadasz, miłuje, inny tem bardziejby się mścił, tem głębiej mnie pogrążył... A waszmość mi rękę podajesz i jako z grobu mię wyciągasz!

— Bo nie chcę dla prywaty ojczyzny miłej poświęcać, której waszmość znaczne jeszcze posługi możesz oddać. Ale to waszmości powiem, że gdybyś był owych Kozaków od Trubeckiego albo Chowańskiego pożyczył, tedybym list zatrzymał. Całe to szczęście, żeś tego nie uczynił!

— Przykład, przykład z waćpana innym brać! — odrzekł Kmicic. — Dajże mi rękę. Bóg mi pozwoli czem dobrem się waszmości wypłacić, boś mnie na śmierć i życie zobowiązał.

— To i dobrze, potem o tem! A teraz... uszy waszmość do góry! Nie trzeba ci do żad-

nych sądów stawać, jeno do roboty się brać. Zasłużysz się ojczyźnie, to ci i ta szlachta odpuści, bo to ludzie na honor ojczyzny bardzo czuli... Możesz jeszcze winy zmazać, reputację odzyskać, i w sławie jak w słońcu chodzić, a już tam znam jedną pannę, która ci nagrodę za życia obmyśli.

— E! — zakrzyknął z uniesieniem Kmicic — co ja tu będę w łożu gnił, gdy nieprzyjaciel ojczyznę depcze. Hej! jest tam który? Sam tu! pachołek, buty podawaj!... Sam tu! Niechże mnie piorun w tych betach ustrzeli, jeśli będę dłużej w nich parciał!

Uśmiechnął się na to z zadowoleniem pan Wołodyjowski i rzekł:

— Duch w waści od ciała silniejszy, bo ciało jeszcze ci nie dopisze.

To rzekłszy, począł żegnać się, a Kmicic nie puszczał, dziękował i winem chciał traktować.

Jakoż dobrze już miało się ku wieczorowi, gdy mały rycerz opuścił Lubicz i do Wodoktów podążył.

— Najlepiej ją za ostre słowo nagrodzę, — mówił sam do siebie, — gdy jej powiem, że Kmicic nietylko z łoża, ale i z niesławy powstaje... Nie doszczętu to jeszcze zepsuty człowiek, jeno gorączka wielki. Okrutnie ją też pocieszę, i tak myślę, że mnie teraz lepiej przyjmie, niż wtedy, gdym jej samego siebie ofiarował...

Tu westchnął poczciwy pan Michał i mruknął:

— Żeby to wiedzieć, czy jest jaka na świecie i dla mnie przeznaczona?

Wśród podobnych rozmyślań dojechał do Wodoktów. Kudłaty Żmudzin wybiegł do kołowrotu, ale nie śpieszył się otwierać, jeno rzekł:

— Dziedziczki niemasz w domu.

— To wyjechała?

— A wyjechała.

— Gdzie?

— Kto ją wie!

— A kiedy wróci?

— Kto ją wie!

— Gadajże po ludzku! Nie mówiła, kiedy wróci?

— Bogdaj wcale nie wróci, bo z wozami wyjechała i z tobołami. Z tego miarkujem, że daleko i na długo.

— Tak? — mruknął pan Michał. — Ot! com najlepszego sprawił!...

ROZDZIAŁ III.

Zwyczajnie, gdy cieplejsze promienie słońca poczynają przedzierać się przez zimową chmur oponę i gdy pierwsze pędy ukazują się na drzewach, a zielona ruń zbóż kiełkuje na wilgotnych polach, wstępuje i lepsza nadzieja w serca ludzkie. Ale wiosna 1655 roku

nie przyniosła zwykłej pociechy dla strapionych w Rzeczypospolitej ludzi. Cała jej wschodnia granica, od północy aż po Dzikie Pola na południu, była opasana jakby wstęgą ognistą, i wiosenne ulewy nie mogły pogasić pożaru, owszem, wstęga owa stawała się coraz szerszą i coraz rozleglejsze zajmowała kraje. A oprócz tego na niebie pojawiły się znaki złej wróżby, zwiastujące większe jeszcze klęski i nieszczęścia. Raz wraz z chmur, przelatujących niebiosa, tworzyły się jakoby wieże wysokie, jakoby flanki [1] forteczne, które następnie zawalały się z łoskotem. Pioruny biły w ziemię, jeszcze śniegiem pokrytą, lasy sosnowe żółkły, a gałęzie drzew skręcały się w dziwne, chorobliwe kształty; zwierzęta i ptaki padały od jakiejś nieznanej choroby. Nakoniec dostrzeżono i na słońcu plamy niezwyczajne, mające kształt ręki, jabłko trzymającej, serca przebitego i krzyża. Umysły trwożyły się coraz bardziej, a zakonnicy gubili się w dociekaniach, coby owe znaki mogły znaczyć. Dziwna jakaś niespokojność ogarniała wszystkie serca.

Przepowiadano nowe wojny, i nagle, Bóg wie skąd, złowroga wieść poczęła krążyć z ust do ust po wsiach i miastach, że od strony Szwedów zbliżała się nawałnica. Napozór nic nie zdawało się potwierdzać tej wieści, gdyż

[1] narożne wieże, baszty.

rozejm ze Szwecją zawarty miał jeszcze na sześć lat siłę, a jednak mówiono o niebezpieczeństwie wojny i na sejmie, który król Jan Kazimierz złożył 19 maja w Warszawie.

Coraz więcej niespokojnych oczu zwracało się ku Wielkopolsce, na którą burza najpierwej mogła się zwalić. Leszczyński, wojewoda łęczycki, i Naruszewicz, pisarz polny litewski, wyjechali w poselstwie do Szwecji; ale wyjazd ich, zamiast uspokoić strwożonych, rozniecił większy jeszcze niepokój.

„Legacja [1] ta wojną pachnie“ — pisał Janusz Radziwiłł.

— Gdyby nawała nie groziła z tamtej strony, pocóżby ich wysyłano? — mówili inni. — Wszakże ledwie wrócił ze Sztokholmu poprzedni poseł Kanazyl; ale widać to jasno, że nic nie sprawił, skoro zaraz po nim tak poważnych wysłano senatorów.

Wszelako rozsądniejsi ludzie nie wierzyli jeszcze w możliwość wojny.

— Żadnej — twierdzili — Rzeczpospolita nie dała przyczyny, a rozejm trwa w całej sile. Jakżeby to podeptano przysięgi, zgwałcono najświętsze umowy i napadnięto po zbójecku bezpiecznego sąsiada? Szwecja przytem pamięta jeszcze rany, polską szablą zadane pod Kircholmem, Puckiem i Trzcianą! Wszakże to i Gustaw Adolf, który w całej

[1] poselstwo.

Europie nie znalazł przeciwnika, uległ kilkakroć panu Koniecpolskiemu. Nie będą Szwedzi tak wielkiej sławy wojennej, w świecie nabytej, na niepewny hazard wystawiać z przeciwnikiem, któremu nigdy w polu dostać nie mogli. Prawda, że i wojną wyczerpana i osłabiona jest Rzeczpospolita; ale samych Prus i samej Wielkopolski, która w wojnach ostatnich wcale nie ucierpiała, wystarczy ten głodny naród przepędzić i za morza do bezpłodnych skał odeprzeć. Nie będzie wojny!

Na to odpowiadali znów trwożliwi, że jeszcze przed sejmem warszawskim radzono już z namowy króla na sejmiku w Grodnie o obronie pasów [1] granicznych wielkopolskich, że rozpisywano podatki i żołnierza, czegoby przecie nie czyniono, gdyby niebezpieczeństwo nie było bliskie.

I tak chwiały się umysły pomiędzy obawą a nadzieją, ciężka niepewność przygniatała dusze ludzkie, gdy nagle położył jej koniec uniwersał Bogusława Leszczyńskiego, jenerała wielkopolskiego [2], zwołującego pospolite ruszenie szlachty województw poznańskiego i kaliskiego dla obrony granic od grożącej nawały szwedzkiej...

Wszelka wątpliwość znikła. Okrzyk: „Wojna!“ — rozległ się po całej Wielkopolsce i wszystkich ziemiach Rzeczypospolitej.

---

[1] tu: przejść, przepraw. [2] starosty grodowego dla dwóch województw: poznańskiego i kaliskiego.

Była to nietylko wojna, ale nowa wojna. Chmielnicki, wspomagany przez Buturlina, srożył się na południu i wschodzie; Chowański i Trubecki na północy i wschodzie, Szwed zbliżał się z zachodu! Ognista wstęga zmieniała się w koło ogniste.

Kraj był jak obóz oblężony.

A w obozie źle się działo. Jeden już zdrajca, Radziejowski, uciekł z niego i był w namiocie napastników. On to prowadził ich na łup gotowy, on wskazywał słabe strony, on miał kusić załogę. A oprócz tego nie brakło ni niechęci, ni zawiści; nie brakło magnatów między sobą zwaśnionych lub za odmówione urzędy na króla krzywych i w każdej chwili sprawę publiczną dla swej prywaty poświęcić gotowych; nie brakło dysydentów [1], pragnących triumf swój choćby na grobie ojczyzny uświęcić; a jeszcze więcej było swawolników i ospałych i leniwych i w sobie samych, we własnych wczasach i dostatkach, zakochanych.

Jednakże zasobna i wojną dotąd nie poterana kraina wielkopolska nie żałowała przynajmniej pieniędzy na obronę. Miasta i wsie szlacheckie dostarczyły piechotnego żołnierza tyle, ile go rozpisano, i zanim szlachta ruszyła własnemi osobami do obozu, ciągnęły już tam pstre pułki łanowej piechoty, pod

---

[1] różnowierców, t. j. wyznawców religji niekatolickiej.

wodzą rotmistrzów, przez sejmik wyznaczonych z ludzi, w rzemiośle wojennem doświadczonych.

Wiódł więc pan Stanisław Dębiński łanowców poznańskich, pan Władysław Włostowski kościańskich, a pan Golc, sławny żołnierz i inżynier, wałeckich. Nad kaliskimi chłopy dzierżył rotmistrzowską buławę pan Stanisław Skrzetuski, z rodu dzielnych wojowników, stryjeczny Jana, słynnego zbarażczyka. Pan Kacper Żychliński prowadził konińskich młynarzy i sołtysów. Z pod Pyzdrów ciągnął pan Stanisław Jaraczewski, który młodość w cudzoziemskich wojnach spędził; z pod Kcyni pan Piotr Skoraszewski, a pan Kwilecki z pod Nakła. Nikt jednak w doświadczeniu wojennem nie mógł wyrównać panu Władysławowi Skoraszewskiemu, którego głosu nawet sam jenerał wielkopolski i wojewodowie słuchali. W trzech miejscach: pod Piłą, Ujściem i Wieleniem, zalegli rotmistrzowie pasy nadnoteckie, czekając na przybycie szlachty, na pospolite ruszenie zwołanej. Piechurowie sypali szańce od rana do wieczora, ustawicznie oglądając się za siebie, czy pożądana konnica nie nadciąga.

Tymczasem nadjechał pierwszy z dygnitarzy, pan Andrzej Grudziński, wojewoda kaliski, i stanął w domu burmistrza z licznym pocztem sług, przybranych w białe i błękitne barwy. Spodziewał się, że wnet otoczy go

szlachta kaliska, gdy jednak nikt się nie zjawiał, posłał po rotmistrza, pana Stanisława Skrzetuskiego, zajętego sypaniem szańczyków nad rzeką.

— A gdzie to moi ludzie? — pytał po pierwszych powitaniach rotmistrza, którego znał od dziecka.

— Jacy ludzie? — rzekł pan Skrzetuski.

— A pospolite ruszenie kaliskie?

Pół pogardliwy, pół bolesny uśmiech pojawił się na czarniawej twarzy żołnierza.

— Jaśnie wielmożny wojewodo! — rzekł — przecie to czas strzyży owiec, a za źle umytą wełnę nie chcą w Gdańsku płacić. Każdy teraz jegomość nad stawem przy myciu, albo nad wagą stoi, słusznie mniemając, że Szwedzi nie uciekną.

— Jakże to? — odparł zafrasowany wojewoda — niemasz jeszcze nikogo?

— Żywego ducha, prócz piechoty łanowej... A potem żniwa bliskie. Dobry gospodarz z domu nie wyjeżdża w takim czasie!

— Co mi waćpan prawisz!

— A Szwedzi nie uciekną, jeno jeszcze bliżej przyjdą — powtórzył rotmistrz.

Dziobata twarz wojewody poczerwieniała nagle.

— Co mi Szwedzi!... Ale to dla mnie wstyd wobec innych panów będzie, gdy sam się tu jako palec ostanę.

Skrzetuski znów się uśmiechnął.

— Wasza miłość pozwoli sobie powiedzieć, — rzekł, — że Szwedzi tu rzecz główna, a wstyd potem. Zresztą, nie będzie go, bo nietylko kaliskiej, ale i żadnej innej szlachty jeszcze niema.

— Powarjowali! — rzekł pan Grudziński.

— Nie, jeno tego pewni, że jeśli oni nie zechcą do Szwedów, to Szwedzi nie omieszkają do nich.

— Czekaj waść! — rzekł wojewoda.

I klasnąwszy na pachołka, kazał sobie podać inkaustu, piór i papieru — następnie usiadł i począł pisać.

Po upływie pół godziny, zasypał [1] kartę, uderzył po niej ręką i rzekł:

— Posyłam jeszcze wezwanie, by się najpóźniej pro die 27 praesentis [2] stawili, i tak myślę, że przynajmniej w tym ostatnim terminie zechcą non deesse patriae [3]. A teraz powiedz mi waćpan: macie-li jakie wieści o nieprzyjacielu?

— Mamy. Wittemberg wojska swoje pod Damą na łęgach [4] musztruje.

— Siła ich?

— Jedni mówią, że siedemnaście tysięcy, drudzy, że więcej.

— Hm! to nas i tyle nie będzie. Jak waść sądzisz, zdołamy się oprzeć?

---

[1] piaskiem, by pismo wysuszyć. [2] na dzień 27 bieżącego miesiąca. [3] nie opuścić ojczyzny. [4] błoniach nadrzecznych.

— Jeśli się szlachta nie stawi, to i niema o czem mówić...

— Stawi się, co się nie ma stawić! Wiadoma to rzecz, że pospolite ruszenie zawsze marudzi. Ale ze szlachtą, damy sobie radę?

— Nie damy — rzekł sucho Skrzetuski. — Jaśnie wielmożny wojewodo, toż my wcale żołnierzy nie mamy.

— Jakto: nie mamy żołnierzy?

— Wasza miłość wie tak dobrze, jak ja, że co jest wojska, to wszystko na Ukrainie. Nie przysłano nam tu ani dwóch chorągwi, choć Bóg jeden wie teraz, która burza groźniejsza.

— Ale piechota, ale pospolite ruszenie?

— Na dwudziestu chłopów ledwie jeden wojnę widział, a na dziesięciu jeden wie, jak rusznicę trzymać. Po pierwszej wojnie będą z nich dobrzy żołnierze, ale nie teraz. A co do pospolitego ruszenia, spytaj wasza miłość każdego, kto się choć trochę na wojnie zna, czy pospolite ruszenie może dotrzymać regularnym wojskom, jeszcze takim jak szwedzkie, weteranom z całej luterskiej [1] wojny i do zwycięstw przywykłym.

— Tak-że to waść wysoko Szwedów nad swoich wynosisz?

— Nie wynoszę ja ich nad swoich, bo gdyby tu było z piętnaście tysięcy takich lu-

[1] tu: t. zw. trzydziestoletniej wojny religijnej w Niemczech (1618—1648).

dzi, jacy pod Zbarażem byli, kwarcianych i jazdy, tedybym się ich nie bał; ale z naszymi, daj Boże, abyśmy coś znaczniejszego wskórać mogli.

Wojewoda położył ręce na kolanach i spojrzał bystro wprost w oczy Skrzetuskiemu, jakby chciał w nich jakąś ukrytą myśl wyczytać.

— Tedy poco my tu przyszli? Czy waćpan nie myślisz, że lepiej się poddać?

Zapłonął na to pan Stanisław i rzekł:

— Jeśli mi taka w głowie myśl postała, każ-że mnie wasza miłość na pal wbić. Na pytanie, czy wierzę w wiktorję, odpowiadam jako żołnierz: nie wierzę! — ale pocośmy tu przyszli, to inna materja, na którą jako obywatel odpowiadam: poto, abyśmy nieprzyjacielowi wstręt pierwszy dali, abyśmy, zatrzymawszy go na sobie, pozwolili reszcie kraju opatrzyć się i wystąpić, abyśmy ciałami naszemi wstrzymali najazd póty, póki jeden na drugim nie padniem!

— Chwalebna to intencja [1] waszmości, — odpowiedział chłodno wojewoda, — ale łatwiej wam żołnierzom o śmierci mówić, niż nam, na których cała odpowiedzialność za tyle krwi szlacheckiej, darmo przelanej, spadnie.

— Poto i ma szlachta krew, aby ją przelewała.

---

[1] zamiar.

— Tak to, tak! Wszyscy gotowiśmy polec, bo zresztą to najłatwiejsza rzecz. Wszelako obowiązek każe nam, których Opatrzność naczelnikami uczyniła, nie samej tylko chwały szukać, ale i za pożytkiem się oglądać. Wojna już tak jak zaczęta, to prawda, ale przecie Carolus Gustavus pana naszego krewny i musi mieć na to wzgląd. Dlatego należy i paktowania popróbować, bo czasem więcej słowem można wskórać, niżli orężem.

— To do mnie nie należy! — odrzekł sucho pan Stanisław.

Wojewodzie w tejże chwili widocznie toż samo na myśl przyszło, bo skinął głową i pożegnał rotmistrza.

Skrzetuski jednakże do połowy tylko miał słuszność w tem, co mówił o opieszałości szlachty, na pospolite ruszenie powołanej. Prawdą istotnie bowiem było, że do ukończenia strzyży owiec mało kto ściągnął do obozu między Piłą a Ujściem, ale pod dzień 27 czerwca, to jest na termin w ponownem wezwaniu oznaczony, zaczęto zjeżdżać się dość licznie.

Codziennie tumany kurzu, podnoszące się z powodu suchej i stałej pogody, zwiastowały zbliżanie się coraz nowych zastępów. I jechała szlachta szumnie, konno i koleśno [1], z pocztami sług, z kredensami, z wozami

[1] na wozach.

i obfitością na nich wygód wszelkich, a obciążona tak bronią, iż niejeden za trzech wszelakiego dźwigał oręża, począwszy od kopij, rusznic, bandoletów, szabel, koncerzy i zarzuconych już w owym czasie młotków husarskich, do rozbijania zbroi służących. Starzy praktycy zaraz po tem uzbrojeniu poznawali ludzi nieobytych z wojną i niedoświadczonych.

Ze wszelkiej bowiem szlachty, zamieszkującej obszary Rzeczypospolitej, wielkopolska właśnie najmniej była wojownicza. Tatarzy, Turcy i Kozacy nie deptali nigdy tych okolic, które od czasów krzyżackich zapomniały niemal, jak wygląda wojna w kraju. Kto ze szlachty wielkopolskiej czuł w sobie bojową ochotę, ten się zaciągał do komputu wojsk koronnych i tam stawał tak dobrze jak każdy inny; ale ci natomiast, którzy w domach woleli siedzieć, na prawdziwych się też domatorów [1] zmienili, kochających się w dostatkach, we wczasach, na zawołanych gospodarzy, zasypujących swą wełną, i zwłaszcza swojem zbożem, rynki miast pruskich.

Teraz więc, gdy burza szwedzka oderwała ich od spokojnych zajęć, zdawało im się, że na wojnę nie można się zanadto bronią najeżyć, ani zapasami zaopatrzyć, ani za wielu wziąć pachołków, którzyby ciała i sprzętów pana strzegli.

---

[1] nie lubiących ruszać się z domu.

Dziwni to byli żołnierze, z którymi rotmistrzowie niełatwo do sprawy przyjść mogli. Stawał naprzykład towarzysz z kopją na dziewiętnaście stóp długą i w pancerzu na piersiach, ale w słomianym kapeluszu „dla chłodu“ na głowie; inny w czasie musztry na gorąco narzekał, inny ziewał, jadł lub pił, inny pachołka wołał, a wszyscy w szeregu nie poczytywali za rzecz zdrożną gawędzić tak głośno, że rozkazów oficerów nikt słyszeć nie mógł. I trudno było dyscyplinę wprowadzać, bo się o nią bracia urażała mocno, jako godności obywatelskiej przeciwną. Ogłaszano wprawdzie „artykuły“ [1], ale ich słuchać nie chciano.

Kulą żelazną u nóg tego wojska był nieprzeliczony zastęp wozów, koni zapaśnych i pociągowych, bydła przeznaczonego na spyżę [2], a zwłaszcza sług, pilnujących namiotów, sprzętów, jagieł, krup i bigosów, a wszczynających z lada powodu kłótnie i zamieszanie.

Przeciw takiemu to wojsku zbliżał się od strony Szczecina i nadodrzańskich łęgów Arfwid Wittemberg, stary wódz, któremu młodość na wojnie trzydziestoletniej zbiegła, prowadząc siedemnaście tysięcy weteranów, w żelazną dyscyplinę ujętych.

Z jednej strony stał bezładny obóz polski,

---

[1] przepisy wojskowe. [2] pożywienie.

do zbiegowiska jarmarcznego podobny, hałaśliwy, pełen dysput, rozpraw nad rozporządzeniami wodzów i niezadowolenia, złożony z poczciwych wieśniaków, napoczekaniu w piechotę zamienionych, i z jegomościów prosto od strzyży owiec oderwanych; — z drugiej, maszerowały groźne, milczące czworoboki, na jedno skinienie wodzów rozciągające się z regularnością machin w linje i półkola; zwierające się w kliny i trójkąty tak sprawnie, jak miecz w ręku szermierza; najeżone rurami muszkietów i włóczni, — prawdziwi ludzie wojny, zimni, spokojni, istni rzemieślnicy, którzy do mistrzostwa doszli w rzemiośle. Któż z ludzi doświadczonych mógł wątpić, jaki będzie rezultat spotkania i na czyją stronę musi paść zwycięstwo?

Jednakże szlachty ściągało się coraz więcej, a przedtem jeszcze poczęli się zjeżdżać dygnitarze wielkopolscy i innych prowincyj, z pocztami przybocznych wojsk i sług. Wkrótce po panu Grudzińskim, zjechał do Piły potężny wojewoda poznański, pan Krzysztof Opaliński. Trzystu hajduków, przybranych w żółte z czerwonem barwy i uzbrojonych w muszkiety, szło przed wojewodzińską karetą; tłum dworzan, szlachty, otaczał jego dostojną osobę; za nimi w szyku bojowym ciągnął oddział rajtarów, w takież barwy jak i hajducki przybranych; sam wojewoda jechał w karecie, mając przy sobie błazna,

Stacha Ostrożkę, którego obowiązkiem było posępnego pana przez drogę rozweselać.

Wjazd tak znamienitego dygnitarza dodał wszystkim serca i otuchy; tym bowiem, którzy spoglądali na monarszy niemal majestat wojewody, na tę twarz wspaniałą, w której, z pod wysokiego jak sklepienie czoła, świeciły oczy rozumne i surowe, na senatorską powagę całej postawy, zaledwie w głowie mogło się pomieścić, by jakiś niefortunny los mógł przypaść w udziale takiej potędze.

Ludziom przywykłym do czci dla urzędu i osoby wydawało się, że i sami Szwedzi nie będą chyba śmieli wznieść świętokradzkiej ręki na takiego magnata. Owszem, ci, którym trwożliwe serce biło w piersiach, uczuli się zaraz bezpieczniejsi pod jego skrzydłami. Witano więc go radośnie i gorąco; okrzyki brzmiały wzdłuż ulicy, którą orszak posuwał się zwolna ku domowi burmistrza, a głowy chyliły się przed wojewodą, widnym jak na dłoni przez szyby pozłocistej karety. Na owe ukłony odpowiadał wraz z wojewodą Ostrożka, z taką godnością i powagą, jakby wyłącznie jemu były oddawane.

Zaledwie kurz opadł po przejeździe wojewody poznańskiego, gdy gońcy nadbiegli z oznajmieniem, że jedzie stryjeczny jego brat, wojewoda podlaski, Piotr Opaliński, ze swym szwagrem Jakóbem Rozdrażewskim,

wojewodą inowrocławskim. Ci przywieźli każdy po sto pięćdziesiąt ludzi zbrojnych, prócz dworzan i sług. Potem nie mijał dzień, by ktoś z dygnitarzy nie zjechał, — jako pan Sędziwój Czarnkowski, szwagier Krzysztofa, a sam kasztelan kaliski; Maksymiljan Miaskowski, kasztelan krzywiński, i Paweł Gębicki, pan międzyrzecki. Miasteczko napełniło się tak dalece ludźmi, że domów brakło na pomieszczenie samych tylko dworzan. Przyległe łąki upstrzyły się namiotami pospolitego ruszenia. Rzekłbyś, że wszystko ptactwo różnobarwne zleciało się do Piły z całej Rzeczypospolitej.

Migotały barwy czerwone, zielone, niebieskie, błękitne, białe, na katankach, żupanach, kubrakach i kontuszach, bo pominąwszy pospolite ruszenie, w którem co szlachcic, to inny strój nosił, — pominąwszy służbę pańską — i piechota każdego powiatu w inne przybraną była kolory.

Nadjechali i bazarnicy, którzy nie mogąc się w rynku pomieścić, wybudowali rząd szop wedle miasteczka. Sprzedawano w nich przybory wojskowe — od szat, do broni i jadła. Polowe garkuchnie dymiły przez dzień i noc, roznosząc w dymach zapach bigosów, jagieł, pieczeni — w innych sprzedawano trunki. Przed szopami roiła się szlachta, zbrojna nietylko w miecze, ale i w łyżki, jedząc, popijając i rozprawiając, to o nieprzyjacielu, któ-

rego jeszcze nie było widać, to o nadjeżdżających dygnitarzach, którym nie żałowano przymówek.

Między grupami szlachty chodził Ostrożka, przybrany w odzież zeszytą z pstrych gałganków[1], z berłem zdobnem dzwonkami i miną zgłupia frant. Gdzie się pokazał, otaczano go wnet kołem, on zaś podlewał oliwy do ognia, pomagał obmawiać dygnitarzy i zadawał zagadki, nad któremi szlachta tem bardziej brała się za boki, im bardziej były zjadliwe. Nie szczędzono w nich nikogo.

Pewnego południa nadszedł przed bazary sam wojewoda poznański i wmieszał się między szlachtę, rozmawiając łaskawie z tym, z owym, lub ze wszystkimi, i skarżąc się trochę na króla, że wobec zbliżającego się nieprzyjaciela nie przysłał ani jednej chorągwi kwarcianej.

— Nie myślą o nas, mości panowie, — mówił, — i bez pomocy nas zostawiają. Powiadają w Warszawie, że na Ukrainie i tak wojska za mało i że hetmani nie mogą sobie dać rady z Chmielnickim. Ha, trudno! Milsza widać Ukraina, niż Wielkopolska... W niełasce jesteśmy, mości panowie, w niełasce! Jako na jatki nas tu wydali...

— A kto winien? — pytał pan Szlichtyng, sędzia wschowski.

---

[1] skrawków.

— Kto wszystkim nieszczęściom Rzeczypospolitej winien? — odparł wojewoda — jużci nie my, bracia szlachta, którzy ją piersiami naszemi zasłaniamy.

Słuchającej szlachcie pochlebiło to wielce, że „hrabia na Bninie i Opalenicy“ sam się na równi z nią stawia i do braterstwa się przyznaje, więc zaraz pan Koszucki odpowiedział:

— Jaśnie wielmożny wojewodo! Gdyby tam więcej takich konsyljarzów [1] było przy majestacie, jak wasza miłość, pewnieby tu nas na rzeź nie wydano... Aleć tam podobno ci rządzą, co się niżej kłaniają.

— Dziękuję, panie bracie, za dobre słowo!... Wina tego, co złych doradców słucha. Wolności to tam nasze solą w oku stoją. Im więcej szlachty wyginie, tem absolutum dominium [2] będzie do przeprowadzenia łatwiejsze.

— Zali poto mamy ginąć, aby dzieci nasze w niewoli jęczały?

Wojewoda nic nie odrzekł, a szlachta poczęła spoglądać po sobie i zdumiewać się.

— Więc to tak? — wołały liczne głosy. — Więc poto nas tu pod nóż wysłano? A wierzym! Nie od dziś to o absolutum dominium mówią!... Ale skoro na to idzie, to i my potrafimy o naszych głowach pomyśleć!

— I o naszych dzieciach!

---

[1] doradców. [2] nieograniczona władza królewska.

— I o naszych fortunach, które nieprzyjaciel igne et ferro [1] będzie pustoszył.

Wojewoda milczał.

W dziwny sposób ten wódz dodawał ducha swym żołnierzom.

— Król to wszystkiemu winien! — wołano coraz liczniej.

— A pamiętacie waćpanowie dzieje Jana Olbrachta? — spytał wojewoda.

— „Za króla Olbrachta wyginęła szlachta!“ Zdrada, panowie bracia!

— Król, król zdrajca! — zakrzyknął jakiś głos śmiały.

Wojewoda milczał.

Wtem Ostrożka, stojący przy boku wojewody, uderzył się kilkakroć rękoma po udach i zapiał jak kogut, tak przeraźliwie, że wszystkie oczy zwróciły się na niego.

Następnie zakrzyknął:

— Mości panowie! bracia, serdeńka! posłuchajcie mojej zagadki!

Z prawdziwą zmiennością marcowej pogody oburzenie pospolitaków zmieniło się w jednej chwili w ciekawość i chęć usłyszenia jakiegoś nowego dowcipu błazna.

— Słuchamy! słuchamy! — ozwało się kilkanaście głosów.

Błazen począł mrugać oczyma jak małpa i recytować piskliwym głosem:

---

[1] ogniem i mieczem.

Po bracie się pocieszył koroną i żoną,
Lecz pozwolił, by sławę z bratem pogrzebiono;
Podkanclerza [1] wypędził — i z tego dziś słynie,
Że sam jest podkanclerzym... przy podkanclerzynie.

— Król! król! jako żywo! Jan Kazimierz! — poczęto wołać ze wszystkich stron. I śmiech ogromny, jakby grzmot, rozległ się w zgromadzeniu.

— Niech go kule biją, jak to misternie ułożył! — wołała szlachta.

Wojewoda śmiał się z innymi; następnie, gdy uciszyło się nieco, rzekł poważniej:

— I za tę to sprawę my musimy teraz krwią i głowami nakładać... Ot, do czego doszło!... Ale masz, błaźnie, dukata za dobrą zagadkę.

— Krzysztofku! Krzychu najmilszy! — odrzekł Ostrożka — czemu to na innych napadasz, że trefnisiów trzymają, kiedy sam nietylko mnie trzymasz, ale osobno za zagadki dopłacasz?... Dajże mnie jeszcze dukata, to ci powiem drugą zagadkę.

— Taką samą dobrą?

— Jeno dłuższą... Daj naprzód dukata.

— Masz!

Błazen znów wstrząsnął rękoma, jak kogut skrzydłami, znów zapiał, i zakrzyknął:

— Mości panowie, słuchajcie! Kto to taki?

Na prywatę narzekał, udawał Katona,
Od szabli wolał pióro z gęsiego ogona;

---

[1] Radziejowskiego.

Po zdrajcy[1] chciał spuścizny, a gdy jej nie dostał,
Wnet totam Rempublicam[2] ostrym rytmem[3] schłostał.
Bodajby szablę kochał, mniej byłoby biedy,
Bo się satyr[4] na pewno nie ulękną Szwedy.
On zaś, ledwie wojennych skosztował kłopotów,
Już, za zdrajcy przykładem, króla zdradzić gotów.

Wszyscy obecni odgadli tak dobrze tę zagadkę, jak i poprzednią. Dwa czy trzy zduszone w tejże chwili śmiechy ozwały się w zgromadzeniu, poczem zapadła cisza głęboka.

Wojewoda stał się czerwony i tem bardziej się zmieszał, że wszystkie oczy były w niego utkwione, a błazen spoglądał to na jednego szlachcica, to na drugiego, wreszcie ozwał się:

— Nikt z waszmościów nie odgaduje, kto to taki?

A gdy milczenie było jedyną odpowiedzią, wówczas Ostrożka zwrócił się z najbezczelniejszą miną do wojewody:

— A ty, Krzychu, zali także nie wiesz, o jakim to hultaju była mowa?... Nie wiesz? to płać dukata!

— Masz! — odrzekł wojewoda.

— Bóg ci zapłać!... Powiedz-no mi Krzychu: nie starał-żeś się ty przypadkiem o podkanclerstwo po Radziejowskim?

— Nie pora na krotofile! — odparł Krzysztof Opaliński.

---

[1] t. j. Radziejowskim. [2] całą Rzeczpospolitą. [3] wierszem. [4] wierszy uszczypliwych, szyderskich.

I skłoniwszy się czapką wszystkim obecnym:

— Czołem waszmościom!... Pora mi na radę wojenną.

— Na radę familijną, chciałeś Krzychu powiedzieć, — dodał Ostrożka, — bo tam wszyscy krewni radzić będziecie, jakby dać drapaka.

Poczem zwrócił się do szlachty, i naśladując wojewodę w ukłonie, dodał:

— A waćpanom w to graj!

I oddalili się obaj; ale zaledwie uszli kilkanaście kroków, jeden ogromny wybuch śmiechu obił się o uszy wojewody i brzmiał jeszcze długo, zanim utonął w ogólnym gwarze obozu.

Rada wojenna istotnie miała miejsce i wojewoda poznański na niej prezydował [1]. Była to szczególna rada! Brali w niej udział sami tacy dygnitarze, którzy się na wojnie nie znali. Bo magnaci wielkopolscy nie szli i nie mogli iść za przykładem owych „królewiąt“ litewskich lub ukrainnych, żyjących w ustawicznym ogniu, jak salamandry [2].

Tam, co wojewoda lub kanclerz, to był wódz, któremu pancerz wygniatał na ciele nigdy nie schodzące czerwone pręgi, któremu młodość zbiegła na stepach lub w lasach od wschodniej strony, wśród zasadzek, walk, gonitw, w obozach lub taborach. Tu, byli to dy-

[1] przewodniczył. [2] płazy, podobne do jaszczurek, które, wedle dawnych wyobrażeń, mogły bez szkody przebywać w ogniu.

gnitarze, pilnujący urzędów, a choć w chwilach potrzeby chodzili i oni na pospolite ruszenie, jednakże nigdy nie zajmowali naczelnych w czasie wojen stanowisk. Głęboki spokój uśpił wojowniczego ducha potomków tych rycerzy, którym niegdyś żelazne hufce krzyżackie nie mogły dotrzymać pola; zmienił w statystów, uczonych i literatów. Dopiero twarda szkoła szwedzka nauczyła ich, czego zapomnieli.

Ale tymczasem zgromadzeni na naradę dygnitarze spoglądali na się niepewnemi oczyma i każdy bał się pierwszy odezwać, czekając, co powie „Agamemnon“ [1], wojewoda poznański.

„Agamemnon“ zaś sam nie znał się poprostu na niczem i mowę swoją rozpoczął znów od narzekań na niewdzięczność i ospałość królewską, na lekkie serce, z jakiem całą Wielkopolskę i ich pod miecz wydano. Ale zato jakże był wymowny; jakże wspaniałą czynił postać, prawdziwie rzymskiego senatora godną: głowę przy mówieniu trzymał wzniesioną, czarne jego oczy ciskały błyskawice, usta pioruny, a siwiejąca broda trzęsła się z uniesienia, gdy przyszłe klęski ojczyzny malował.

— W czemże bowiem ojczyzna cierpi, — mówił, — jeżeli nie w synach swoich?... a my

[1] tak zwał się naczelny wódz wojsk greckich, zdobywających Troję.

tutaj najpierwej ucierpimy. Po naszych to ziemiach, po naszych prywatnych fortunach, zasługami i krwią przodków zdobytych, przejdzie naprzód noga tych nieprzyjaciół, którzy jako burza zbliżają się ku nam od morza. I za co my cierpimy? Za co zajmą nasze trzody, wydepcą zboża, popalą wsie, pracą naszą zbudowane? Czy myśmy krzywdzili Radziejowskiego, który niesłusznie osądzony i jak zbrodniarz ścigany, obcej protekcji szukać musiał? Nie!... Czy my nastajemy, aby ten próżny tytuł króla szwedzkiego, który już tyle krwi kosztował, był w podpisie naszego Jana Kazimierza zachowany? Nie!... Dwie wojny palą się na dwóch granicach — trzebaż było wywołać i trzecią?... Kto winien, niech go Bóg, niech go ojczyzna sądzi!... My umyjmy ręce, bośmy niewinni tej krwi, która będzie przelaną...

I tak dalej piorunował wojewoda; ale gdy przyszło do właściwej materji, nie umiał rady pożądanej udzielić.

Posłano tedy po rotmistrzów, łanową piechotą dowodzących, a szczególnie po pana Władysława Skoraszewskiego, który był nietylko rycerz sławny i niezrównany, ale stary praktyk wojenny, znający wojnę jak pacierz. Rad jego istotni nawet wodzowie nieraz słuchali; tem więc skwapliwiej pożądano ich teraz.

Pan Skoraszewski radził tedy założyć trzy obozy: pod Piłą, Wieleniem i Ujściem, tak bli-

sko, aby w razie napadu mogły sobie wzajem przychodzić w pomoc; a prócz tego całą nadrzeczną przestrzeń, łukiem obozów objętą, obsypać szańcami, któreby nad przeprawami panowały.

— Gdy się już okaże, — mówił pan Skoraszewski, — w którem miejscu nieprzyjaciel będzie przeprawy tentował, tedy się tam ze wszystkich trzech obozów w kupę zbierzemy dać mu wstręt należyty. Ja zaś, za zezwoleniem jaśnie wielmożnych panów, pójdę z małym pocztem do Czaplinka. Stracona to pozycja i wczas się z niej cofnę, ale tam najpierwej dowiem się o nieprzyjacielu i jaśnie wielmożnym panom dam znać o nim.

Wszyscy zgodzili się na ową radę i poczęto nieco żwawiej krzątać się w obozie. Szlachty zjechało się wreszcie do piętnastu tysięcy. Łanowi sypali szańce na przestrzeni sześciu mil.

Ujście, główną pozycję, zajął ze swymi ludźmi pan wojewoda poznański. Część rycerstwa została w Wieleniu, część w Pile, a pan Władysław Skoraszewski odjechał do Czaplinka, by stamtąd dawać baczenie na nieprzyjaciela.

Rozpoczął się lipiec; dni były ciągle pogodne i gorące. Słońce dopiekało na równinach tak mocno, iż szlachta chroniła się po lasach, pomiędzy drzewami, pod których cieniem niektórzy kazali rozbijać swe namioty.

Tam też wyprawiano uczty gwarne i hałaśliwe, a jeszcze więcej hałasu czyniła służba, zwłaszcza przy pławieniu i pojeniu koni, których po kilka tysięcy naraz pędzono trzy razy dziennie do Noteci i Głdy, kłócąc się i bijąc o najlepszy przystęp do brzegu.

Duch jednak, pomimo iż sam wojewoda poznański działał raczej w ten sposób, aby go osłabić, był z początku dobry.

Gdyby Wittemberg był nadszedł w pierwszych dniach lipca, byłby prawdopodobnie napotkał mocny opór, który w miarę rozgrzewania się ludzi do boju, mógłby się zmienić w niezwalczoną wściekłość, jak tego często bywały przykłady. Bo przecież w żyłach tych ludzi, jakkolwiek odwykłych od wojny, płynęła krew rycerska.

Kto wie, czy drugi Jeremi Wiśniowiecki nie zmieniłby był Ujścia w drugi Zbaraż i nie zapisał w tych okopach nowej świetnej karjery rycerskiej. Ale właśnie wojewoda poznański, na nieszczęście, mógł tylko pisać, nie walczyć.

Wittemberg, człowiek nietylko wojnę znający, ale i ludzi, może umyślnie się nie śpieszył. Doświadczenie długoletnie uczyło go, że nowozaciężny żołnierz najniebezpieczniejszy jest w pierwszej chwili zapału i że częstokroć nie męstwa mu brak, ale żołnierskiej cierpliwości, którą tylko praktyka wyrabia. Potrafi on nieraz uderzyć, jak nawałnica, na

najstarsze pułki i przejść po ich trupach. Jest to żelazo, które, póki czerwone, drga, żyje, sypie iskry, pali, niszczy, a gdy już wystygnie, jest tylko martwą bryłą.

Jakoż, gdy ubiegł tydzień, i drugi, a zaczynał się trzeci, długa bezczynność poczęła ciężyć pospolitemu ruszeniu. Upały były coraz większe. Szlachta nie chciała wychodzić na musztry, tłumacząc się tem, że „konie, cięte przez bąki, nie chcą ustać na miejscu, a jako że w błotnistej okolicy, od komarów wytrzymać nie można...“

Czeladź wszczynała coraz większe kłótnie o miejsca cieniste, o które i między panami przychodziło do szabel. Jaki taki, skręciwszy wieczorem do wody, wyjeżdżał chyłkiem z obozu, aby nie wrócić więcej.

Nie brakło i z góry złego przykładu. Pan Skoraszewski dał właśnie znać z Czaplinka, że Szwedzi już niedaleko, gdy na radzie wojennej uwolniono do domu pana Zygmunta z Grudnej Grudzińskiego, starościca średzkiego, o co stryj Andrzej, pan wojewoda kaliski, wielce nastawał.

— Jeśli ja mam tu głowę złożyć i gardło dać, — mówił, — niechże synowiec po mnie pamięć i sławę odziedziczy, aby zasługa moja nie przepadła.

Tu począł roztkliwiać się nad młodym wiekiem i niewinnością synowca, oraz wynosić jego hojność, z jaką sto piechoty bardzo po-

rządnej dla Rzeczypospolitej na ten termin wystawił. I rada wojenna zgodziła się na prośby stryja.

Zrana dnia 16 lipca wyjeżdżał pan starościc w kilkanaście sług otwarcie z obozu do domu, w wigilję niemal oblężenia i bitwy. Tłumy szlachty przeprowadzały go wśród szyderskich okrzyków aż za obóz, a tłumom tym przywodził Ostrożka, który krzyczał zdaleka za odjeżdżającym:

— Mości panie starościcu, daję ci do herbu i nazwiska przydomek: Deest! [1]

— Vivat Deest-Grudziński! — krzyknęła szlachta.

— A nie płacz za stryjem! — wołał dalej Ostrożka, — równy on ma z tobą kontempt dla Szwedów, i niech się jeno pokażą, pewnie się plecami do nich obróci!

Młodemu magnatowi krew biła do twarzy, ale udawał, że obelg nie słyszy, jeno konia bódł ostrogami i tłumy rozpierał, by jak najprędzej znaleźć się poza obozem i swymi prześladowcami, którzy wkońcu, bez uwagi na ród i godność odjeżdżającego, poczęli rzucać grudkami ziemi i krzyczeć:

— Masz grudkę, Grudziński! A ho! a huzia! hoc! hoc! szarak! kot!

Uczynił się taki tumult, że aż wojewoda poznański nadbiegł z kilkunastu rotmistrzami

[1] tu: znika, „zwiewa“.

uspokajać i tłumaczyć, że staroście tylko na tydzień, dla bardzo pilnych spraw, wziął permisję.

Jednakże zły przykład podziałał — i tego samego dnia znalazło się kilkuset szlachty, którzy nie chcieli być gorszymi od pana starościca, lubo wymykali się z mniejszą asystencją i ciszej. Pan Stanisław Skrzetuski, rotmistrz kaliski, a stryjeczny słynnego zbarażczyka Jana, włosy rwał na głowie, bo i jego łanowcy, idąc za przykładem „towarzystwa“, poczęli „wyciekać“ z obozu. Złożono znów radę wojenną, w której tłumy szlacheckie koniecznie chciały wziąć udział. Nastała noc burzliwa, pełna krzyków, swarów. Podejrzywano się wzajemnie o zamiar ucieczki. Okrzyki: „Albo wszyscy, albo nikt!“ — przelatywały z ust do ust.

Co chwila zrywały się wieści, że wojewodowie uchodzą, — i panował taki rozruch, że wojewodowie musieli się ukazywać po kilkakroć wzburzonym tłumom. Kilkanaście tysięcy ludzi stało do świtania na koniach, wojewoda poznański zaś jeździł między nimi z odkrytą głową, podobien do senatora rzymskiego, i powtarzał co chwila wielkie słowa:

— Mości panowie! z wami żyć i umierać!

Przyjmowano go w niektórych miejscach wiwatami, w innych brzmiały szyderskie okrzyki. On zaś, ledwie uciszył tłumy, wracał na radę, spracowany, zachrypły, upojony

wielkością własnych słów i przekonany, że tej nocy niepożyte ojczyźnie oddał usługi.

Ale na radzie mniejsze miał słowa na ustach, bo się za brodę i za chochoł targał z rozpaczy, powtarzając:

— Radźcie waszmościowie, jeśli umiecie... Ja umywam ręce od tego, co się stanie, bo z takim żołnierzem niepodobna się bronić.

— Jaśnie wielmożny wojewodo! — odpowiadał pan Stanisław Skrzetuski. — Sam nieprzyjaciel powściągnie tę swawolę i te rozruchy. Niech jeno armaty zagrają, niech przyjdzie do obrony, oblężenia, ta sama szlachta w sprawie własnego gardła musi z wałów służyć, nie w obozie się warcholić. Tak już nieraz bywało!

— Z czem się bronić? Armat nie mamy, jeno nasze wiwatówki, dobre do pukania w czasie uczt.

— Pod Zbarażem Chmielnicki miał siedemdziesiąt dział, a książę Jeremi jeno kilkanaście oktaw i granatników.

— Ale miał wojsko, nie pospolitaków; swoje chorągwie, w świecie sławne, nie ichmościów od strzyży owiec.

— Posłać po pana Władysława Skoraszewskiego — rzekł pan Sędziwój Czarnkowski, kasztelan poznański. — Uczynić go obożnym. On ma mir u szlachty i w ryzie utrzymać ją potrafi.

— Posłać po Skoraszewskiego! Poco on ma w Drahimiu czy w Czaplinku siedzieć! — po-

wtórzył pan Jędrzej Grudziński, wojewoda kaliski.

— Tak jest! to najlepsza rada! — zawołały inne głosy.

I wysłano gońca po pana Władysława Skoraszewskiego — innych postanowień na radzie nie powzięto, natomiast mówiono i narzekano wiele na króla, królową, na brak wojska i opuszczenie.

Ranek następny nie przyniósł ni pociechy, ni uspokojenia. Owszem, bezład stał się jeszcze większy. Ktoś puścił nagle wieść, że różnowiercy, mianowicie kalwini, sprzyjają Szwedom i gotowi są przy pierwszej sposobności przejść do nieprzyjaciół. Co więcej, wieści tej nie zaprzeczył ani pan Szlichtyng, ani panowie Kurnatowscy, Edmund i Jacek, również kalwini, ale ludzie szczerze ojczyźnie oddani. Sami owszem potwierdzili, że różnowiercy tworzą osobne koło i zmawiają się ze sobą, pod wodzą znanego warchoła i okrutnika pana Reja, który zamłodu służąc w Niemczech, jako ochotnik po stronie luterskiej, wielkim był Szwedów przyjacielem. Zaledwie tedy te podejrzenia rozbiegły się między szlachtą, natychmiast kilkanaście tysięcy szabel zabłysło i prawdziwa burza rozpoczęła się w obozie.

— Zdrajców karmimy! żmije karmimy, gotowe kąsać łono rodzicielki! — wołała szlachta.

— Dawajcie ich sam!

— W pień ich!... Zdrada najzaraźliwsza, mości panowie!... Wyrwać kąkol, bo inaczej zginiemy wszyscy.

Wojewodowie i rotmistrze znów musieli uspokajać, ale przyszło im to jeszcze trudniej, niż dnia poprzedniego. Sami zresztą byli przekonani, że pan Rej gotów najotwarciej zdradzić ojczyznę, bo to był człowiek zupełnie scudzoziemczony i, prócz mowy, nie miał w sobie nic polskiego. Uchwalono też wysłać go z obozu, co zaraz uspokoiło nieco wzburzonych. Jednakże długo jeszcze zrywały się okrzyki:

— Dawajcie ich sam! Zdrada! zdrada!

Dziwne usposobienie zapanowało wkońcu w obozie. Jedni upadli na duchu i pogrążyli się w smutku. Ci chodzili w milczeniu błędnemi krokami wzdłuż wałów, puszczając trwożliwy i posępny wzrok na równiny, któremi miał nadciągnąć nieprzyjaciel, lub udzielali, szepcąc, coraz gorszych nowin.

Innych opanowała szalona, desperacka jakaś wesołość i gotowość na śmierć. Wskutek tej gotowości wyprawiano uczty i pijatyki, by wesoło ostatnich dni życia użyć. Niektórzy też myśleli o zbawieniu i noc spędzali na modlitwach. Nikt tylko w całym tym ludzkim tłumie nie myślał o zwycięstwie, jakby ono wcale było niepodobnem, a jednak nieprzyjaciel nie miał sił przewyższają-

cych: miał więcej dział, i wojska lepiej ćwiczone, i wodza, który wojnę rozumiał.

A gdy tak z jednej strony obóz polski wrzał, huczał, ucztował, wzburzał się, uciszał, jak morze wichrem smagane, gdy pospolite ruszenie sejmikowało, niby w czasie elekcji króla, — z drugiej strony, po roztoczystych, zielonych łęgach nadodrzańskich posuwały się spokojne zastępy szwedzkie.

Szła więc naprzód brygada gwardji królewskiej; wiódł ją Benedykt Horn, groźny żołnierz, którego imię ze strachem w Niemczech powtarzano; lud doborny, rosły, ubrany w grzebieniaste hełmy z czółnami zachodzącemi na uszy, w żółte skórzane kaftany, zbrojny w rapiery i muszkiety, zimny i uparty w boju i na każde skinienie wodza gotowy.

Karol Schedding, Niemiec, wiódł następną brygadę westgotlandzką, złożoną z dwóch pułków piechoty i jednego ciężkiej rajtarji, przybranej w pancerze bez naramienników; połowa piechurów miała muszkiety, druga włócznie; przy początku bitwy muszkietnicy stawali na czele, a w razie ataku jazdy cofali się za włóczników, którzy utkwiwszy jeden koniec włóczni w ziemię, drugi nadstawiali przeciwko pędzącym koniom. Pod Trzcianą, za czasów Zygmunta III, jedna chorągiew husarji rozniosła na szablach i kopytach też samą westgotlandzką brygadę, w której obecnie służyli przeważnie Niemcy.

Dwie brygady smalandzkie wiódł Irwin, zwany Bezrękim, bo był prawicę w swoim czasie, broniąc chorągwi, utracił, — zato w lewej miał taką siłę, że jednym zamachem odcinał łeb konia; był to żołnierz ponury, kochający tylko wojnę i rozlew krwi, surowy i dla siebie, i dla żołnierzy. Gdy inni „kapitanowie" wyrobili się w ustawicznej wojnie na ludzi rzemiosła, wojnę dla wojny kochających, on pozostał tym samym fanatykiem, i mordował ludzi śpiewając psalmy pobożne.

Brygada westmanlandzka szła pod Drakenborgiem, a helsingerska, złożona ze strzelców w świecie sławnych, pod Gustawem Oxenstierną, krewnym sławnego kanclerza, młodym żołnierzem, wielkie rokującym nadzieje. Nad estgotlandzką pułkownikował Fersen, a nerikską i wermlandzką sprawował sam Wittemberg, który zarazem był naczelnym wodzem całej armji.

Siedemdziesiąt dwa działa wytłaczało bróździ po wilgotnych łęgach, a wszystkich żołnierzy było 17 tysięcy, groźnych łupieżników całych Niemiec, a w boju tak sprawnych, że, zwłaszcza z piechotą, zaledwie królewskie francuskie gwardje mogły się porównać. Za pułkami ciągnęły wozy i namioty, a pułki szły w szyku, w każdej chwili do boju gotowe.

Las włóczni sterczał nad masą głów, hełmów i kapeluszy, a między tym lasem pły-

nęły ku polskiej granicy wielkie chorągwie błękitne z białemi krzyżami w pośrodku.

Z każdym dniem zmniejszała się odległość, dzieląca dwa wojska.

Nakoniec, w dniu 27 lipca, w lesie pod wsią Heinrichsdorfem, ujrzały zastępy szwedzkie po raz pierwszy słup graniczny polski. Na ten widok całe wojsko uczyniło okrzyk ogromny, zagrzmiały trąby, kotły i bębny, i rozwinęły się wszystkie chorągwie. Wittemberg wyjechał naprzód w asystencji świetnego sztabu, a wszystkie pułki przechodziły przed nim, prezentując broń, jazda z dobytemi rapierami, działa z zapalonemi lontami. Godzina była południowa, pogoda przepyszna. Powietrze leśne pachniało żywicą.

Szara, zalana promieniami słońca droga, którą przechodziły szwedzkie chorągwie, wybiegając z heinrichsdorfskiego lasu, gubiła się na widnokręgu. Gdy idące nią wojska przeszły wreszcie las, wzrok ich odkrył krainę wesołą, uśmiechniętą, połyskującą żółtawemi łanami zbóż wszelakich, miejscami usianą dąbrowami, miejscami zieloną od łąk. Tu i owdzie z kęp drzew, za dąbrowami, hen! daleko, podnosiły się dymy ku niebu; na potrawach [1] widniały pasące się trzody. Tam, gdzie na łąkach przeświecała woda rozlana szeroko, chodziły spokojnie bociany.

---

[1] łąkach, skoszonych już raz na siano.

Jakaś cisza i słodycz rozlana była wszędzie po tej ziemi, mlekiem i miodem płynącej. I zdawała się roztaczać coraz szerzej i otwierać ramiona przed wojskami, jakby nie najezdników witała, ale gości z Bogiem przybywających.

Na ten widok nowy okrzyk wyrwał się z piersi wszystkich żołdaków, mianowicie rodowitych Szwedów, przywykłych do nagiej, biednej, dzikiej przyrody w kraju ojczystym. Serca łupieskiego a ubogiego ludu wezbrały pragnieniem zagarnięcia tych skarbów i dostatków, które wpadały im pod oczy. Zapał ogarnął szeregi.

Ale spodziewali się żołdacy, zahartowani w ogniu trzydziestoletniej wojny, że nie przyjdzie im to łatwo, boć tę ziemię zbożną zamieszkiwał lud rojny, a rycerski, który umiał jej bronić. Żyła jeszcze w Szwecji pamięć strasznego pogromu pod Kircholmem, gdzie trzy tysiące jazdy pod Chodkiewiczem starło na proch ośmnaście tysięcy najbitniejszego szwedzkiego wojska. W chatach Westgotlandu, Smalandu lub Dalekarlji opowiadano o tych rycerzach skrzydlatych, jak o wielkoludach z sagi [1]. Świeższa była jeszcze pamięć walk za Gustawa Adolfa, bo nie wymarli ludzie, którzy brali w nich udział. Wszakże ów orzeł skandynawski, za-

[1] podania skandynawskiego.

nim przeleciał całe Niemcy, po dwakroć połamał szpony o zastępy Koniecpolskiego.

Więc z radością łączyła się w sercach szwedzkich i pewna obawa, której nie był prożen sam wódz naczelny, Wittemberg. Patrzył on na przechodzące pułki piechoty i rajtarji takiem okiem, jakiem pasterz patrzy na swą trzodę; następnie zwrócił się do otyłego człowieka, przybranego w kapelusz z piórem i jasną perukę, spadającą na ramiona.

— Wasza miłość upewniasz mnie, — rzekł, — że z temi siłami można złamać wojska stojące pod Ujściem?

Człowiek w jasnej peruce uśmiechnął się i odrzekł:

— Wasza miłość może zupełnie polegać na mych słowach, za które głową ręczyć gotowym. Gdyby pod Ujściem były wojska regularne i którykolwiek z hetmanów, tedybym pierwszy radził nie kwapić się i poczekać, aż jego królewska mość z całą armją nadciągnie; ale przeciw pospolitemu ruszeniu i tym panom wielkopolskim siły nasze aż zanadto wystarczą.

— A nie przyślą-że im jakowych posiłków?

— Posiłków nie przyślą z dwóch powodów: po pierwsze dlatego, że wojska wszystkie, których wogóle jest niewiele, zajęte są na Litwie i na Ukrainie; po wtóre, że w Warszawie ani król Jan Kazimierz, ani

kanclerze, ani senat, do tej pory nie chcą wierzyć, aby jego królewska mość Karol Gustaw, wbrew rozejmowi i mimo ostatnich poselstw, mimo gotowości do ustępstw, naprawdę rozpoczął wojnę. Ufają, że pokój jeszcze w ostatniej chwili będzie uczyniony... cha! cha!

Tu otyły człowiek zdjął kapelusz, otarł z potu czerwoną twarz, i dodał:

— Trubecki i Dołgoruki[1] na Litwie, Chmielnicki na Ukrainie, a my wchodzimy do Wielkopolski... Oto, do czego doprowadziły rządy Jana Kazimierza!

Wittemberg spojrzał na niego dziwnym wzrokiem i zapytał:

— A wasza miłość radujesz się tą myślą?

— A ja raduję się tą myślą, bo moja krzywda i moja niewinność będą pomszczone; a prócz tego widzę już jak na dłoni, że szabla waszej miłości i moje rady włożą tę nową, najpiękniejszą w świecie koronę na głowę Karola Gustawa.

Wittemberg zapuścił wzrok w dal, objął nim lasy, dąbrowy, łęgi i łany zbożne, i po chwili rzekł:

— Tak jest! piękny to kraj i żyzny... Wasza miłość możesz też być pewien, że po wojnie jego królewska mość nikomu innemu wielkorządztwa tu nie powierzy.

---

[1] wódz moskiewski, walczący przeciw Polsce.

Otyły człowiek zdjął znów kapelusz.

— I ja też nie chcę innego mieć pana — dodał, wznosząc oczy ku niebu.

Niebo było jasne i pogodne, żaden piorun nie spadł i nie skruszył na proch zdrajcy, który swój kraj, jęczący już pod dwiema wojnami i wyczerpany, wydawał na tej granicy w moc nieprzyjaciela.

Człowiek bowiem rozmawiający z Wittembergiem był to Hieronim Radziejowski, były podkanclerzy koronny, obecnie Szwedom przeciwko ojczyźnie zaprzedany.

Stali czas jakiś w milczeniu; tymczasem ostatnie dwie brygady, nerikska i wermlandzka, przeszły granicę, za niemi poczęły się wtaczać działa, trąby ciągle jeszcze grały, a huk kotłów i warczenie bębnów głuszyło kroki żołnierzy i napełniało las złowrogiemi echami. Wreszcie ruszył i sztab. Radziejowski jechał koło Wittemberga.

— Oxenstierny nie widać — rzekł Wittemberg; — boję się, czy go jaka przygoda nie spotkała. Nie wiem, jeśli to dobra była rada posyłać go jako trębacza z listami pod Ujście.

— Dobra, — odparł Radziejowski, — bo obóz zlustruje, wodzów zobaczy i wyrozumie, co tam myślą, a tegoby lada ciura nie uczynił.

— A jeśli go poznają?

— Jeden Rej go tam zna, a on nasz. Zresztą, choćby go poznali, nie uczynią mu nic

złego, jeszcze na drogę opatrzą i nagrodzą... Znam ja Polaków i wiem, że gotowi na wszystko, byle się przed obcymi jako polityczny naród pokazać. Cała usilność nasza w tem, aby nas obcy chwalili... O Oxenstiernę możesz być wasza miłość spokojny, bo włos mu z głowy nie spadnie. Nie widać go, bo i czas był na powrót za krótki.

— A jak wasza miłość sądzisz: sprawią nasze listy jaki skutek?

Radziejowski rozśmiał się.

— Jeżeli pozwolisz mi wasza miłość być prorokiem, to przepowiem, co się stanie. Pan wojewoda poznański, polityczny to człek i uczony, więc nam bardzo politycznie i bardzo grzecznie odpisze; ale że lubi za Rzymianina uchodzić, tedy jego odpowiedź okrutnie będzie rzymska; powie naprzód, że woli ostatnią kroplę krwi wylać, niż poddać się, że śmierć lepsza od niesławy, a miłość, jaką żywi dla ojczyzny, nakazuje mu paść za nią na granicy.

Radziejowski począł się śmiać jeszcze głośniej, surowa twarz Wittemberga rozjaśniła się także.

— Wasza miłość nie sądzisz, aby on był gotów tak uczynić, jak pisze? — spytał.

— On? — odrzekł Radziejowski. — Prawda, że żywi miłość do ojczyzny, ale inkaustem, a że niezbyt to posilna potrawa, więc i jego miłość chudsza nawet od jego

błazna, który mu pomaga rytmy układać. Jestem pewny, że po onej rzymskiej odpowiedzi nastąpią życzenia zdrowia, pomyślności, polecenie się służbom, a nakoniec prośba, byśmy dobra jego i krewnych oszczędzali, za co znów będzie żywił dla nas wdzięczność, wraz ze wszystkimi swymi krewnymi.

— A jakiż będzie w ostatku skutek naszych listów?

— Że zwątlą ducha do ostatka, że panowie senatorowie rozpoczną z nami układy, i że całą Wielkopolskę, bodaj po kilku wystrzałach na wiatr, zajmiemy.

— Obyś wasza miłość był prawdziwym prorokiem...

— Pewien jestem, że tak będzie, bo znam tych ludzi, mam też przyjaciół i stronników w całym kraju i wiem, jak sobie poczynać... A że niczego nie omieszkam, ręczy za to krzywda, która mnie od Jana Kazimierza spotkała, i miłość dla Karola Gustawa. Czulsi u nas teraz ludzie na własne fortuny, niż na całość Rzeczypospolitej. Wszystkie te ziemie, po których teraz iść będziem, to fortuny Opalińskich, Czarnkowskich, Grudzińskich, a że oni to właśnie stoją pod Ujściem, więc też i miększi będą przy układach. Co do szlachty, byle jej wolność sejmikowania zaręczyć, pójdzie i ona śladem panów wojewodów.

— Wasza miłość niepożyte swą znajomością kraju i ludzi oddajesz jego królewskiej

mości usługi, które nie mogą być bez równie znakomitej nagrody. Z tego, co od waszej miłości słyszę, wnioskuję, że mogę tę ziemię jako naszą uważać.

— Możesz, wasza miłość! możesz! możesz! — powtórzył skwapliwie po kilkakroć Radziejowski.

— A więc zajmuję ją w imieniu jego królewskiej mości Karola Gustawa — odparł poważnie Wittemberg.

Gdy tak wojska szwedzkie poczęły deptać za Heinrichsdorfem ziemię wielkopolską, poprzednio jeszcze, bo w dniu 18 lipca, przybył do obozu polskiego trębacz szwedzki z listami do wojewodów od Radziejowskiego i Wittemberga.

Pan Władysław Skoraszewski sam poprowadził go do wojewody poznańskiego, a szlachta z pospolitego ruszenia gapiła się ciekawie na „pierwszego Szweda“, podziwiając jego dzielną postawę, twarz męską, żółty wąs, zaczesany w końcach do góry w szeroką szczotkę, i minę prawdziwie pańską. Tłumy przeprowadziły go do wojewody, znajomi zwoływali się nawzajem, pokazywano go palcami, śmiano się trochę z butów, zakończonych ogromną kolistą cholewą, i z długiego, prostego rapiera, który rożnem przezywano, wiszącego na pendencie [1], suto srebrem hafto-

[1] pasie służącym do zawieszania szabli.

wanym; Szwed zaś rzucał także ciekawie oczyma z pod szerokiego kapelusza, jakby chciał obóz zlustrować i siły przeliczyć, to znów przypatrywał się tłumom szlachty, której wschodni ubiór widocznie był dla niego nowością.

Nakoniec wprowadzono go do wojewody, u którego zgromadzeni byli wszyscy dygnitarze, znajdujący się w obozie.

Wnet przeczytano listy i rozpoczęła się narada, trębacza zaś polecił pan wojewoda swym dworzanom, aby uczęstowano go po żołniersku; od dworzan odebrała go szlachta, i podziwiając go ciągle, jako osobliwość, poczęła z nim pić naumor.

Pan Skoraszewski przypatrywał mu się również pilnie, ale z tego powodu, iż podejrzywał, że to jakiś oficer za trębacza przebrany; poszedł nawet z tą myślą wieczorem do pana wojewody; ten jednak odrzekł, iż to jest wszystko jedno, i aresztować go nie pozwolił.

— Choćby to był i sam Wittemberg, — rzekł, — jako poseł tu przybył i odjechać spokojnie powinien... Jeszcze mu każę dać dziesięć dukatów na drogę.

Trębacz tymczasem gawędził łamaną niemczyzną z tymi ze szlachty, którzy ten język przez stosunki z miastami pruskiemi rozumieli, i opowiadał im o zwycięstwach, przez Wittemberga w różnych krajach odniesio-

nych, o siłach, jakie ku Ujściu idą, a zwłaszcza o działach nieznanej dotąd doniosłości, którym niemasz sposobu opierać się. Strapiła się też tem szlachta niemało i różne przesadne wieści poczęły wnet krążyć po obozie.

Tej nocy prawie nikt nie spał w całem Ujściu, bo naprzód, koło północy, nadeszli ci ludzie, którzy dotychczas w osobnych stali obozach pod Piłą i Wieleniem. Dygnitarze radzili nad odpowiedzią do białego dnia, a szlachcie czas schodził na opowiadaniach o potędze szwedzkiej.

Z pewną gorączkową ciekawością wypytywano trębacza o wodzów, wojsko, broń, sposób walczenia, i podawano sobie z ust do ust każdą jego odpowiedź. Bliskość szwedzkich zastępów dodawała niezwykłego interesu wszelkim szczegółom, które nie były tego rodzaju, aby mogły dodać otuchy.

O świtaniu nadjechał pan Stanisław Skrzetuski z wieścią, że Szwedzi przyciągnęli już pod Wałcz, o jeden dzień marszu od polskiego obozu. Powstała natychmiast sroga krętanina; większość koni wraz ze służbą była na paszy na łąkach, więc posyłano po nie na gwałt. Powiaty siadały na koń i stawały chorągwiami. Chwila przed bitwą bywa dla niewyćwiczonego żołnierza najstraszniejszą; więc zanim rotmistrze zdołali wprowadzić jaki taki porządek, przez długi czas panowało przerażające zamieszanie.

Nie było słychać ni komendy, ni trąbek, tylko głosy wołające ze wszystkich stron: „Janie! Piotrze! Onufry! bywaj!... Żeby cię zabito! dawaj konie!... Gdzie moja służba?... Janie! Piotrze!“ — Gdyby w tej chwili rozległ się jeden strzał działowy, zamieszanie łatwo w popłoch zamienićby się mogło.

Zwolna jednak powiaty stawały w ordynku. Przyrodzone usposobienie szlachty do wojny zastąpiło poniekąd brak doświadczenia, i około południa przedstawiał już obóz dość imponujący widok. Piechota stała na wałach, podobna do kwiatów w swych różnobarwnych kabatach; dymy unosiły się z zapalonych lontów, a nazewnątrz wałów, pod zasłoną dział, łęgi i równina zaroiły się powiatowemi chorągwiami jazdy, w szyku stojącej, na dzielnych koniach, których rżenie budziło echo w pobliskich lasach i napełniało serca zapałem wojennym.

Tymczasem wojewoda poznański wyprawił trębacza z odpowiedzią na listy, brzmiącą mniej więcej tak, jak przepowiedział Radziejowski, a zatem polityczną zarazem i rzymską [1]; poczem postanowił wysłać podjazd na północny brzeg Noteci dla pochwycenia nieprzyjacielskiego języka.

Piotr Opaliński, wojewoda podlaski, stryjeczny wojewody poznańskiego, miał ruszyć

---

[1] godną Rzymianina, a więc w duchu patrjotyczno-bohaterskim.

własną osobą z podjazdem, wraz ze swymi dragonami, których sto pięćdziesiąt pod Ujście przyprowadził, a oprócz tego polecono panom rotmistrzom, Skoraszewskiemu Władysławowi i Skrzetuskiemu, wezwać ochotnika ze szlachty, do pospolitego ruszenia należącej, aby i ona zajrzała już przecie w oczy nieprzyjacielowi.

Jeździli tedy obaj przed szeregiem, czyniąc rozkosz oczom moderunkiem swym i postawą; pan Stanisław, czarny jak żuk, na podobieństwo wszystkich Skrzetuskich, z twarzą męską, groźną i ozdobioną długą ukośną blizną, od cięcia miecza pozostałą, z kruczą, rozwianą na wiatr brodą; pan Władysław, tłustawy, z długiemi jasnemi wąsami, z odwiniętą wargą dolną i oczyma w czerwonych obwódkach, łagodny i poczciwy, mniej przypominał Marsa, ale niemniej była to szczera dusza żołnierska, jak salamandra w ogniu się kochająca, rycerz znający wojnę jako swoje dziesięć palców, i odwagi nieporównanej. Obaj, przejeżdżając szeregi wyciągnięte w długą linję, powtarzali co chwila:

— A nuże, mości panowie, kto na ochotnika pod Szweda? Kto rad prochu powąchać? Nuże, mości panowie, na ochotnika!

I tak przejechali już spory kawał — bez skutku, bo z szeregów nie wysuwał się nikt. Jeden oglądał się na drugiego. Byli tacy, którzy mieli ochotę, i nie strach przed Szwe-

dami, ale nieśmiałość ich wstrzymywała. Niejeden trącał sąsiada łokciem i mówił: „Pójdziesz ty, to i ja pójdę“.

Rotmistrze poczynali się niecierpliwić, aż nagle, gdy przyjechali przed powiat gnieźnieński, jakiś człowiek pstro ubrany wyskoczył na kucu nie z szeregu, ale z za szeregu, i krzyknął:

— Mości panowie pospolitaki, ja zostaję ochotnikiem, a wy błaznami!

— Ostrożka! Ostrożka! — zawołała szlachta.

— Taki dobry szlachcic, jak i każdy! — odpowiedział błazen.

— Tfu! do stu djabłów! — zawołał pan Rosiński, podsędek, — dość błazeństw! idę ja!

— I ja! ...I ja! — zawołały liczne głosy.

— Raz mnie matka rodziła, raz mi śmierć!

— Znajdą się tacy dobrzy, jak i ty!

— Każdemu wolno! Niech się tu nikt nad drugich nie wynosi.

I jak poprzednio nikt nie stawał, tak teraz poczęła się sypać szlachta ze wszystkich powiatów — prześcigać końmi, zawadzać jedni o drugich i kłócić naprędce. Stanęło w mgnieniu oka z pięćset koni, a jeszcze ciągle wyjeżdżano z szeregów. Pan Skoraszewski począł się śmiać swoim szczerym, poczciwym śmiechem i wołać:

— Dosyć, mości panowie, dosyć! Nie możemy iść wszyscy.

Poczem obaj ze Skrzetuskim sprawili ludzi i ruszyli naprzód.

Pan wojewoda podlaski połączył się z nimi przy wyjściu z obozu. Widziano ich jak na dłoni, przeprawiających się przez Noteć — poczem zamigotali jeszcze kilkakrotnie na skrętach drogi i znikli z oczu.

Po upływie pół godziny, pan wojewoda poznański kazał rozjeżdżać się ludziom do namiotów, uznał bowiem, że niepodobna ich trzymać w szeregach, gdy nieprzyjaciel jeszcze o dzień drogi odległy. Porozstawiano jednak liczne straże; nie pozwolono wyganiać koni na paszę, i wydano rozkaz, że za pierwszem cichem zatrąbieniem przez munsztuk wszyscy mają siadać na koń i stawać w gotowości.

Skończyło się oczekiwanie, niepewność, skończyły się zaraz swary, kłótnie; owszem: bliskość nieprzyjaciela, jak powiadał pan Skrzetuski, podniosła ducha. Pierwsza szczęśliwa bitwa mogła go nawet podnieść bardzo wysoko, i wieczorem zdarzył się wypadek, który zdawał się być nową szczęśliwą wróżbą.

Słońce właśnie zachodziło, oświecając ogromnym, rażącym oczy blaskiem Noteć i zanoteckie bory, gdy po drugiej stronie rzeki ujrzano naprzód tuman kurzu, a potem poruszających się w tumanie ludzi. Wyległo, co żyło, na wały, patrzeć, co to za goście;

wtem od straży nadbiegł dragon z chorągwi pana Grudzińskiego, dając znać, że podjazd wraca.

— Podjazd wraca!... wracają szczęśliwie!... Nie zjedli ich Szwedzi! — powtarzano z ust do ust w obozie.

Oni tymczasem, w jasnych kłębach kurzu, zbliżali się coraz bardziej, idąc wolno, następnie przeprawiali się przez Noteć.

Szlachta przypatrywała im się z rękoma nad oczami, bo blask czynił się coraz większy i całe powietrze przesycone było złotem i purpurowem światłem.

— Hej! coś ich kupa większa, niż wyjechała! — rzekł pan Szlichtyng.

— Jeńców chyba prowadzą, jak mnie Bóg miły! — zakrzyknął jakiś szlachcic, widocznie tchórzem podszyty, który oczom swoim wierzyć nie chciał.

— Jeńców prowadzą! jeńców prowadzą!...

Oni tymczasem zbliżyli się już tak, że twarze można było rozróżnić. Na przedzie jechał pan Skoraszewski, kiwając swym zwyczajem głową i gawędząc wesoło ze Skrzetuskim, za nimi duży oddział konny otaczał kilkudziesięciu piechurów, przybranych w koliste kapelusze. Byli to istotnie jeńcy szwedzcy.

Na ten widok nie wytrzymała szlachta i puściła się naprzeciw wśród okrzyków:

— Vivat Skoraszewski! Vivat Skrzetuski!

Gęste tłumy otoczyły wnet cały oddział.

Jedni patrzyli na jeńców, drudzy wypytywali się: „Jak to było?“ — inni wygrażali Szwedom.

— A hu! A co?! Dobrze wam, psiajuchy!... Z Polakami zachciało się wam wojować? Macie teraz Polaków!

— Dawajcie ich sam!... Na szable ich!... Bigosować!...

— Ha, szołdry! ha, pludraki![1] popróbowaliście polskich szabel?!

— Mości panowie, nie krzyczcie jak wyrostki, bo jeńcy pomyślą, że wam wojna pierwszyzna! — rzekł pan Skoraszewski. — Zwyczajna to rzecz, że się jeńców w czasie wojny bierze.

Ochotnicy, którzy należeli do podjazdu, spoglądali z dumą na szlachtę, która zarzucała ich pytaniami:

— Jakże to? Łatwo wam się dali? Czy musieliście się zapocić? Dobrze się biją?

— Dobrzy pachołkowie, — odparł pan Rosiński, — bronili się znacznie, ale przecie nie z żelaza. Szabla się ich ima.

— Taki nie mogli wam się oprzeć, co?

— Impetu nie mogli wytrzymać.

— Mości panowie, słyszycie, co mówią: impetu nie mogli wytrzymać!... A co?... Impet, to grunt!...

[1] chodzący w krótkich spodniach i pończochach, co raziło szlachtę polską, noszącą długi strój zwierzchni i spodnie wpuszczone do wysokich butów.

— Pamiętajcie, byle z impetem!... Najlepszy to sposób na Szweda!

Gdyby tej szlachcie kazano w tej chwili skoczyć na nieprzyjaciela, niechybnie nie zabrakłoby jej impetu, ale tymczasem nieprzyjaciela nie było widać — natomiast, dobrze już w noc, rozległ się głos trąbki przed forpocztami [1]. Przybywał drugi trębacz z listem od Wittemberga, wzywającym szlachtę do poddania się. Tłumy, dowiedziawszy się o tem, chciały posłańca rozsiekać, ale wojewodowie wzięli list do deliberacji, choć treść jego była bezczelna.

Jenerał szwedzki oświadczał, że Karol Gustaw posyła swe wojska krewnemu Janowi Kazimierzowi, jako posiłki przeciw Kozakom, że zatem Wielkopolanie powinni się poddać bez oporu. Pan Grudziński, czytając to pismo, nie mógł wstrzymać oburzenia i pięścią w stół uderzył, ale wojewoda poznański wnet uspokoił go pytaniem:

— Wierzysz waszmość w zwycięstwo?... Ile dni możem się bronić?... Chcesz-li wziąć odpowiedzialność za tyle krwi szlacheckiej, która jutro może być przelaną?...

Po dłuższej naradzie postanowiono nie odpowiadać i czekać, co się stanie. Nie czekano już długo. W sobotę, dnia 24 lipca, straże dały znać, że całe wojsko szwedzkie ukazało

[1] przedniemi strażami.

się naprzeciw Piły. W obozie zawrzało jak w ulu w wilję wyroju.

Szlachta siadała na koń, wojewodowie przebiegali szeregi, wydając sprzeczne rozkazy, aż dopiero pan Władysław wziął wszystko w ręce, i przyprowadziwszy do porządku, wyjechał na czele kilkuset ochotników, by popróbować harców za rzeką i ludzi z widokiem nieprzyjaciół oswoić.

Szła z nim jazda dość ochotnie, bo harce składały się zwykle z szeregu walk prowadzonych niewielkiemi kupami lub pojedynczo, a takich walk, ćwiczona w sztuce robienia szablą, szlachta nie lękała się wcale. Wyszli więc za rzekę i stanęli w obliczu nieprzyjaciela, który zbliżał się coraz bardziej i czerniał długą linją na horyzoncie, jakoby bór świeżo z ziemi wyrosły. Rozwijały się więc pułki konne, piesze, ogarniając coraz szerszą przestrzeń.

Szlachta spodziewała się, że lada chwila sypną się ku niej harcownicy, rajtarzy, ale tymczasem nie było ich widać. Natomiast na wzgórzach, odległych o kilkaset kroków, zatrzymały się niewielkie kupki, w których widać było ludzi i konie, i poczęły kręcić się na miejscu, co ujrzawszy pan Skoraszewski, zakomenderował bez zwłoki:

— Lewo — wtył!

Ale jeszcze nie przebrzmiał głos komendy, gdy na wzgórkach wykwitły długie białe

smugi dymu, i niby ptactwo jakieś przeleciało ze świstem między szlachtą, potem huk wstrząsnął powietrzem, a jednocześnie rozległy się krzyki i jęki kilku rannych.

— Stój! — krzyknął pan Władysław.

Ptactwo przeleciało po raz drugi i trzeci — i znów świstowi zawtórowały jęki. Szlachta nie słuchała komendy naczelnika, owszem, ustępowała coraz szybciej, krzycząc i pomocy niebieskiej wzywając — następnie oddział rozproszył się w mgnieniu oka po równinie i ruszył skokiem ku obozowi. Pan Skoraszewski klął — nic nie pomogło.

Zegnawszy tak łatwo harcowników, Wittemberg posuwał się dalej, aż wreszcie stanął naprzeciw Ujścia, wprost przed szańcami, bronionemi przez szlachtę kaliską. Polskie armaty poczęły grać w tejże chwili, ale zrazu nie odpowiadano na owe salwy ze strony szwedzkiej. Dymy układały się spokojnie w jasnem powietrzu w długie pasma, rozciągające się między wojskami, a przez luki między niemi widziała szlachta pułki szwedzkie, piechoty i jazdy, rozwijające się ze straszliwym spokojem, jakgdyby pewne zwycięstwa.

Na wzgórzach zataczano armaty, podsypywano szańczyki, słowem, nieprzyjaciel szykował się, nie zwracając najmniejszej uwagi na kule, które, nie dolatując do niego, obsypywały jeno piaskiem i ziemią pracujących przy szańczykach.

Wyprowadził jeszcze pan Stanisław Skrzetuski dwie chorągwie kaliszanów, chcąc śmiałym atakiem zmieszać Szwedów, ale nie poszli ochotnie; oddział rozciągnął się zaraz w bezładną kupę, bo gdy odważniejsi parli konie naprzód, tchórzliwsi wstrzymywali je umyślnie. Dwa pułki rajtarji, wysłanej przez Wittemberga, po krótkiej walce spędziły szlachtę z pola i gnały pod sam obóz.

Tymczasem zapadł zmrok i zakończył bezkrwawą walkę.

Strzelano jednak z dział aż do nocy, poczem strzały umilkły, ale w obozie polskim podniosła się taka wrzawa, że słychać ją było na drugim brzegu Noteci. Powstała ona naprzód z tego powodu, że kilkaset pospolitaków próbowało wymknąć się w ciemnościach z obozu. Inni, spostrzegłszy to, poczęli grozić i nie puszczać. Brano się do szabel. Słowa: „Albo wszyscy, albo nikt!“ — znowu przelatywały z ust do ust. Lecz z każdą chwilą stawało się prawdopodobniejszem, że ujdą wszyscy. Wybuchło wielkie niezadowolenie z wodzów: „Wysłano nas z gołemi brzuchami przeciw armatom!“ — wołali pospolitacy.

Oburzano się również i na Wittemberga, że, nie szanując zwyczajów wojennych, przeciw harcownikom nie harcowników wysyła, ale z armat ognia do nich niespodzianie każe dawać. „Każdy poczyna sobie, jak mu le-

piej, — mówiono, — ale świńskiego to narodu obyczaj, czołem do czoła nie stanąć". — Inni rozpaczali otwarcie. „Wykurzą nas stąd, jak jaźwca z jamy" — mówili desperaci. — „Obóz źle zatoczony, szańce źle usypane, miejsce do obrony niestosowne." — Od czasu do czasu odzywały się głosy: „Panowie bracia! ratujcie się!" — A inne wołały: „Zdrada! zdrada!"

Była to noc straszna: zamieszanie i rozprzężenie wzrastało z każdą chwilą; rozkazów nikt nie słuchał. Wojewodowie potracili głowy i nie próbowali nawet przywrócić ładu. Niedołęstwo ich i niedołęstwo pospolitego ruszenia okazywało się jasno, jak na dłoni. Wittemberg mógłby był tej nocy wziąć wstępnym bojem obóz z największą łatwością.

Nastał świt.

Dzień czynił się blady, chmurny, i oświecił chaotyczne zbiorowisko ludzi, upadłych na duchu, lamentujących, w znacznej części pijanych, gotowszych na hańbę, niż na walkę. Na domiar złego, Szwedzi przeprawili się nocą pod Dzięboweem na drugą stronę Noteci i otoczyli obóz polski.

Z tej strony nie było prawie wcale szańców i nie było z za czego się bronić. Należało otoczyć się wałem bez straty chwili czasu. Skoraszewski i Skrzetuski zaklinali, by to uczyniono, ale nikt już nie chciał o niczem wiedzieć.

Wodzowie i szlachta mieli na ustach jedno słowo: „paktować!“ Wysłano parlamentarzy. W odpowiedzi przybył z obozu szwedzkiego świetny orszak, na czele którego jechali: Radziejowski i generał Wirtz, obaj z zielonemi gałęziami.

Jechali ku domowi, w którym stał wojewoda poznański, ale po drodze zatrzymywał się Radziejowski wśród tłumów szlachty, kłaniał się gałęzią i kapeluszem, uśmiechał się, witał znajomych i mówił donośnym głosem:

— Mości panowie, bracia najmilsi! Nie trwóżcie się! Nie jako wrogowie tu przybywamy. Od was samych zależy, by kropla krwi więcej nie była wytoczona. Jeżeli chcecie zamiast tyrana, który nastaje na wolności wasze, który o absolutum dominium zamyśla, który ojczyznę do ostatniej zguby przywiódł, jeżeli chcecie, powtarzam, pana dobrego, wspaniałego, wojownika tak niezmiernej sławy, że na samo imię jego pierzchną wszyscy nieprzyjaciele Rzeczypospolitej, — to oddajcie się w protekcję najjaśniejszemu Karolowi Gustawowi... Mości panowie, bracia najmilsi! Oto wiozę ze sobą poręczenie wszelkich swobód waszych, waszej wolności, religji. Od was samych ocalenie wasze zależy... Mości panowie! Najjaśniejszy król szwedzki podejmuje się przytłumić rebelję kozacką, zakończyć wojnę litewską, i on jeden to uczynić

potrafi. Ulitujcie się nad ojczyzną nieszczęsną, jeśli nad sobą nie macie litości...

Tu głos zdrajcy zadrgał, jakoby łzami przyduszony. Słuchała szlachta w zdumieniu, gdzieniegdzie rzadkie głosy zakrzyknęły: „Vivat Radziejowski, nasz podkanclerzy!“ — a on przejeżdżał dalej, i znów się kłaniał nowym tłumom, i znów słychać było jego tubalny [1] głos: „Mości panowie, bracia najmilsi!“ — Nakoniec obaj z Wirtzem i całym orszakiem znikli w domu wojewody poznańskiego.

Szlachta stłoczyła się przed domem tak ciasno, że po głowach można było przejechać, bo czuła to i rozumiała, że tam, w tym domu, toczy się sprawa nietylko o nią, ale i o całą ojczyznę. Wyszli słudzy wojewodzińscy w szkarłatnych barwach i poczęli zapraszać poważniejszych „personatów“ do środka. Ci weszli skwapliwie, a za nimi wdarło się kilku mniejszych, a reszta stała pod drzwiami, tłoczyła się do okien, przykładała uszy nawet do ścian. Milczenie panowało w tłumach głębokie. Stojący bliżej okien słyszeli od czasu do czasu gwar donośnych głosów, wydobywający się z wnętrza izby, jakoby echa kłótni, dysput, sporów... Godzina upływała za godziną — końca tej naradzie nie było.

Nagle drzwi wchodowe otworzyły się z trzaskiem i wypadł z nich pan Władysław Skoraszewski.

---

[1] potężny.

Obecni cofnęli się w przerażeniu.

Ten człowiek, zwykle tak spokojny i łagodny, o którym mówiono, że rany mogły się goić pod jego ręką, wyglądał teraz strasznie. Oczy miał czerwone, wzrok obłąkany, odzież rozchełstaną na piersiach; obu rękoma trzymał się za czuprynę, i tak wpadłszy, jak piorun, między szlachtę, krzyczał przeraźliwym głosem:

— Zdrada! morderstwo! hańba! Jesteśmy Szwecją już, nie Polską!

I począł ryczeć okropnym głosem, spazmatycznym [1] płaczem, i rwać włosy, jak człowiek, który rozum traci. Grobowe milczenie panowało dokoła. Straszne jakieś uczucie ogarnęło wszystkie serca.

Skoraszewski zaś zerwał się nagle, począł biegać między szlachtą i wołać głosem najwyższej rozpaczy:

— Do broni! Do broni, kto w Boga wierzy! Do broni! do broni!

Wówczas jakieś szmery poczęły przelatywać po tłumach, jakieś szepty chwilowe, nagłe, urywane, jak pierwsze uderzenia wiatru przed burzą. Wahały się serca, wahały umysły, a w tej rozterce powszechnej uczuć, tragiczny głos wołał ciągle:

— Do broni! do broni!

Wkrótce zawtórowały mu dwa inne: pana Piotra Skoraszewskiego i pana Skrzetuskie-

[1] gwałtownym, nie dającym się pohamować.

go — za nimi nadbiegł i Kłodziński, dzielny rotmistrz powiatu poznańskiego.

Coraz większe koło szlachty poczęło ich otaczać. Czynił się naokoło szmer groźny, płomienie przebiegały twarze i strzelały z oczu, trzaskano szablami. Władysław Skoraszewski opanował pierwsze uniesienie i począł mówić, ukazując na dom, w którym odbywała się narada:

— Słyszycie, mości panowie, oni tam ojczyznę zaprzedają, jak judasze, i hańbią! Wiedzcie, że już nie należym do Polski. Mało im było wydać w ręce nieprzyjaciela was wszystkich, obóz, wojsko, działa. Bodaj ich zabito! — jeszcze podpisali w swojem i waszem imieniu, że wyrzekamy się związku z ojczyzną, wyrzekamy się pana, że cała kraina, grody, warownie i my wszyscy będziem po wieczne czasy do Szwecji należeć. Że się wojsko poddaje, to bywa; ale kto ma prawo ojczyzny i pana się wyrzekać?! Kto ma prawo prowincję odrywać, z obcymi się łączyć, do innego narodu przechodzić, krwi własnej się wyrzekać?! Mości panowie, to hańba, zdrada, morderstwo, parycydjum!... Ratujcie ojczyznę, panowie bracia! Na imię Boga! kto szlachcic, kto cnotliwy, ratunku dla matki! Życie dajmy, krew wylejmy! Nie chciejmy być Szwedami! nie chciejmy, nie chciejmy!... Bogdaj się nie rodził, kto krwi teraz poskąpi!... Ratujmy matkę!!

— Zdrada! — krzyknęło już kilkadziesiąt głosów. — Zdrada! rozsiekać!

— Do nas, kto cnotliwy! — krzyczał Skrzetuski.

— Na Szweda! na śmierć! — dodał Kłodziński.

I poszli dalej w obóz, krzycząc: „Do nas! do kupy! zdrada!“ — a za nimi ruszyło już kilkuset szlachty z gołemi szablami.

Ale większość niezmierna została na miejscu, a i z tych, co poszli, jaki taki, spostrzegłszy, że ich niewiele, poczynał się oglądać i przyzostawać.

A tymczasem drzwi radnego domu otworzyły się znowu, i ukazał się w nich pan wojewoda poznański, Krzysztof Opaliński, mając po prawej stronie jenerała Wirtza, po lewej Radziejowskiego. Za nimi szli: Andrzej Karol Grudziński, wojewoda kaliski, Maksymiljan Miaskowski, kasztelan krzywiński, Paweł Gębicki, kasztelan międzyrzecki, i Andrzej Słupski.

Krzysztof Opaliński trzymał w ręku zwój pergaminowy ze zwieszającemi się pieczęciami; głowę miał podniesioną, ale twarz bladą, a wzrok niepewny, choć widocznie silił się na wesołość. Ogarnął oczyma tłumy i wśród ciszy śmiertelnej począł mówić dobitnym, lubo nieco zachrypłym głosem:

— Mości panowie! W dniu dzisiejszym poddaliśmy się pod protekcję najjaśniej-

szego króla szwedzkiego. Vivat Carolus Gustavus rex!

Cisza odpowiedziała wojewodzie; nagle zabrzmiał jakiś pojedynczy głos:

— Veto!

Wojewoda powlókł oczyma w kierunku tego głosu i odrzekł:

— Nie sejmik tu, więc i veto nie na miejscu. A kto chce wetować, niechajże idzie na armaty szwedzkie ku nam wymierzone, które w godzinę z całego obozu jedno rumowisko uczynić mogą.

Tu umilkł, a po chwili spytał:

— Kto mówił: „veto"?

Nikt się nie ozwał.

Wojewoda znów zabrał głos i mówił jeszcze dobitniej:

— Wszelkie wolności szlachty i duchowieństwa będą zachowane, po-datki nie bę-dą powiększone, a i wybierane będą w tenże sam sposób, jak poprzednio... Nikt nie będzie cierpiał krzywd, ani grabieży; wojska jego królewskiej mości nie mają prawa do konsystencji [1] w dobrach szlacheckich, ani do innej egzakcji, niż taka, z jakiej komputowe polskie chorągwie korzystały...

Tu umilkł i słuchał chciwie szmeru szlacheckiego, jakby chciał wyrozumieć jego znaczenie, poczem skinął ręką:

---

[1] kwaterowania, postoju na koszt ziemian.

— Prócz tego mamy słowo i obietnicę jenerała Wittemberga, daną w imieniu jego królewskiej mości, iż jeśli cały kraj pójdzie za naszym zbawiennym przykładem, wojska szwedzkie wnet ruszą na Litwę i Ukrainę, i nie wprzód ustaną wojować, aż wszystkie ziemie i zamki będą Rzeczypospolitej powrócone. Vivat Carolus Gustavus rex!

— Vivat Carolus Gustavus rex! — zawołało kilkaset głosów.

— Vivat Carolus Gustavus! — brzmiało coraz donośniej w całym obozie.

Tu na oczach wszystkich wojewoda poznański zwrócił się do Radziejowskiego i uściskał go serdecznie, potem uściskał Wirtza; poczem wszyscy poczęli się ściskać z sobą. Szlachta poszła za przykładem dygnitarzy i radość stała się powszechną. Wiwatowano już tak, że aż echa rozbrzmiewały w całej okolicy. Ale wojewoda poznański prosił jeszcze miłą brać o chwilę ciszy i rzekł serdecznym tonem:

— Mości panowie! Jenerał Wittemberg prosi nas dziś na ucztę do swego obozu, abyśmy przy kielichach sojusz braterski z mężnym narodem zawarli.

— Vivat Wittemberg! vivat! vivat! vivat!

— A potem, mości panowie, — dodał wojewoda, — rozjedziem się do domów i przy pomocy Bożej rozpoczniem żniwa, z tą myślą, żeśmy w dniu dzisiejszym ojczyznę ocalili.

— Potomne wieki oddadzą nam sprawiedliwość — rzekł Radziejowski.

— Amen! — dokończył wojewoda poznański.

Wtem spostrzegł, że oczy mnóstwa szlachty patrzą i przypatrują się czemuś, wyżej, ponad jego głową.

Obrócił się i ujrzał swego błazna, który wspinając się na palce i trzymając jedną ręką za odrzwia, pisał węglem na ścianie radnego domu, tuż nade drzwiami:

„Mane — Tekel — Fares.“ [1]

Na świecie niebo pokryło się chmurami, i zbierało się na burzę.

ROZDZIAŁ IV.

We wsi Burzec, położonej w ziemi łukowskiej, na pograniczu województwa podlaskiego, a należącej podówczas do państwa Skrzetuskich, w sadzie, między dworem a stawem, siedział na ławie stary człowiek, a przy nogach jego bawiło się dwóch chłopaków, jeden pięcio-, drugi czteroletni, czarnych i opalonych jak cyganiątka, a rumianych i zdrowych. Stary człek również czerstwo jeszcze wyglądał, jak tur. Wiek nie zgarbił szerokich jego ramion; z oczu, a raczej z oka, bo jedno miał bielmem pokryte, patrzyło mu

---

[1] słowa biblijne, oznaczające wróżbę nieuchronnej zguby.

zdrowie i dobry humor; brodę miał białą, ale minę gęstą i twarz czerwoną, zdobną na czole w szeroką bliznę, przez którą było widać kość czaszki.

Obaj chłopaki, chwyciwszy za uszy od cholewy jego buta, ciągnęły je w przeciwną stronę, a on patrzył na staw, oświecony blaskami słonecznemi, w którym ryby rzucały się gęsto, łamiąc gładką powierzchnię toni.

— Ryby tańcują — mruczał sam do siebie. — Nie bójcie się, będziecie wy jeszcze lepiej tańcowały po spuście [1], albo gdy was kucharka będzie nożem skrobała.

Poczem zwrócił się do chłopaków:

— Odczepcie się basałyki od cholewy, bo jak który ucho urwie, to i ja mu urwę. Co za bąki uprzykrzone! Idźcie kulki [2] przewracać po trawie i dajcie mi spokój! Longinkowi się nie dziwię, bo młodszy, ale Jaremka winien mieć już rozum. Wezmę którego utrapieńca i w staw wrzucę!

Ale stary widocznie okrutnie był zawojowany przez chłopaków, bo żaden z nich nie uląkł się groźby; natomiast starszy Jaremka począł go jeszcze silniej ciągnąć za cholewę, tupać nogami i powtarzać:

— Żeby dziadzio był Bohunem i porwał Longinka!

---

[1] po spuszczeniu wody ze stawu. [2] koziołki.

— Odczep się, ty żuku, mówię ci! ty smyku, ty gomółko!

— Żeby dziadzio był Bohunem!

— Dam ja ci Bohuna, poczekaj, jeno matki zawołam!

Jaremka spojrzał na drzwi, wychodzące z domu na ogród, ale ujrzawszy, że zamknięte, i nie widząc nigdzie matki, powtórzył po raz trzeci, wysuwając buzię naprzód:

— Żeby dziadzio był Bohunem!

— Zamęczą mnie te knoty, nie może inaczej być... Dobrze, będę Bohunem, ale raz jeden tylko. Skaranie boże! Pamiętaj, żebyś się więcej nie naprzykrzał.

To rzekłszy, stary stęknął trochę, podniósł się z ławki, nagle porwał małego Longinka, i wydając dzikie okrzyki, począł go unosić w kierunku stawu.

Longinek jednak miał dzielnego obrońcę w osobie Jaremki, który w takich razach nie nazywał się Jaremką, ale panem Michałem Wołodyjowskim, rotmistrzem dragońskim.

Pan Michał tedy, zbrojny w patyk lipowy, zastępujący w nagłym razie szablę, puścił się z impetem za otyłym Bohunem, dognał go wkrótce i począł siekać po nogach bez miłosierdzia.

Longinek, grający rolę mamy, wrzeszczał, Bohun wrzeszczał, Jaremka - Wołodyjowski wrzeszczał; ale męstwo wkońcu przemogło, i Bohun, opuściwszy swą ofiarę, począł zmy-

kać zpowrotem pod lipę, nakoniec, dopadłszy ławki, padł na nią, sapiąc straszliwie i powtarzając:

— Ha, basałyki!... Cud będzie, jeżeli się nie zatchnę...

Lecz nie tu był jeszcze koniec jego męki, gdyż za chwilę później stanął przed nim Jaremka, zarumieniony, z rozwianą czupryną i rozdętemi nozdrzami, podobny do małego czupurnego jastrząbka, i jął powtarzać z większą jeszcze, niż poprzednio, energją:

— Żeby dziadzio był Bohunem!

Po wielu naleganiach i uroczystem przyrzeczeniu złożonem przez obydwóch chłopaków, że tym razem będzie to na pewno ostatni raz, historja powtórzyła się znowu z całą dokładnością; poczem już siedli we trzech na ławie i Jaremka począł nalegać:

— Dziadziu! powiedzieć, kto był najmężniejszy.

— Ty, ty! — odrzekł staruszek.

— I wyrosnę na rycerza?

— Pewnie, że wyrośniesz, bo dobra w tobie krew żołnierska. Daj ci Boże, abyś był do ojca podobny, bo przy męstwie mniej byłbyś uprzykrzony... Rozumiesz?

— Powiedzieć: ilu tata zabił?

— Mało sto razy mówiłem! Prędzejbyście liście na tej lipie policzyli, niż tych wszystkich nieprzyjaciół, którycheśmy obaj z waszym ojcem zgładzili. Gdybym miał tyle wło-

sów na głowie, ilum sam położył, balwierze [1] w Łukowskiem porobiliby fortuny — nic, tylko na podgalaniu mi czupryny. Szelmą jestem, jeślim zeł...

Tu pan Zagłoba — on to był bowiem — spostrzegł, iż nie wypada mu ani zaklinać się, ani przeklinać wobec chłopaków, więc chociaż w braku innych słuchaczów lubił i dzieciom opowiadać o swych dawniejszych przewagach, zamilkł tym razem, zwłaszcza że ryby w stawie poczęły się rzucać z podwójną siłą.

— Trzeba będzie powiedzieć ogrodniczkowi, — rzekł, — aby więcierze [2] na noc zastawił; siła zacnych ryb przy samym brzegu się tłucze.

Wtem drzwi domu, wychodzące na ogród, otworzyły się, i ukazała się w nich kobieta, piękna jak południowe słońce, wysoka, tęga, czarnowłosa, z ciemnemi rumieńcami na twarzy i oczyma jak aksamit. Trzeci chłopak, trzylatek, czarny jak kula agatu [3], trzymał się za jej suknię, a ona, nakrywszy oczy ręką, poczęła patrzeć w kierunku lipy.

Była to pani Helena Skrzetuska, z domu kniaziów Bułyhów-Kurcewiczów.

Ujrzawszy pana Zagłobę z Jaremką i Longinkiem pod lipą, posunęła się kilka kroków ku fosie, wypełnionej wodą, i zawołała:

---

[1] golarze. [2] sieci na ryby. [3] barwnego kamienia, używanego do wyrobu ozdobnych przedmiotów.

— A bywajcie-no chłopcy! Pewnie tam dziaduniowi dokuczacie?

— Co mają dokuczać! Wcale się tu przystojnie zachowali — odpowiedział pan Zagłoba.

Chłopaki skoczyły ku matce, a ona rzekła:

— Co tatuś woli dziś pić, dębniaczek czyli miód?

— Świnina była na obiad, to miód będzie grzeczniejszy [1].

— Zaraz przyślę. Ale niech jeno tatuś nie drzemie na powietrzu, bo febra pewna.

— Dziś ciepło i wiatru niema. A gdzie to Jan, córuchno?

— Poszedł do stodół.

Pani Skrzetuska mówiła panu Zagłobie: ojcze, a on jej: córuchno, choć wcale nie byli krewni. Jej rodzina mieszkała na Zadnieprzu, w dawnem państwie wiśniowieckiem, a co do niego, Bóg jeden wiedział, skąd był rodem, gdyż sam rozmaicie o tem powiadał. Ale za czasów, gdy jeszcze była panną, Zagłoba znamienite jej oddał usługi i ze straszliwych niebezpieczeństw ratował, więc też oboje z mężem czcili go jako ojca, i w całej okolicy niezmiernie był od wszystkich szanowany, tak dla obrotnego rozumu, jak i dla nadzwyczajnego męstwa, którego liczne w różnych

[1] tu: odpowiedniejszy, lepszy.

wojnach, a mianowicie w kozackich, dał dowody.

Imię jego głośne było w całej Rzeczypospolitej — sam król kochał się w jego opowiadaniach i dowcipie, a wogóle więcej o nim mówiono, niż nawet o panu Skrzetuskim, chociaż pan Skrzetuski przedarł się w swoim czasie z oblężonego Zbaraża przez wszystkie wojska kozackie.

W chwilę po odejściu pani Skrzetuskiej, pacholik przyniósł pod lipę gąsiorek i szklanicę. Pan Zagłoba nalał, następnie zamknął oczy i począł próbować pilnie.

— Wiedział Pan Bóg, dlaczego pszczoły stworzył! — mruknął pod nosem.

I jął popijać zwolna, oddychając przytem głęboko i spoglądając na staw i za staw, hen, na czarne i sine bory, ciągnące się, jak okiem dojrzeć, po drugim brzegu. Godzina była druga po południu, a niebo bez chmurki. Kwiat lipowy spływał bez szelestu na ziemię, a na lipie między liśćmi śpiewała cała kapela pszczół, które wnet poczęły siadać na zrąbku szklanicy i zgarniać słodki płyn kosmatemi nóżkami.

Nad wielkim stawem, z trzcin odległych, przesłoniętych mgłą oddalenia, podnosiły się czasem stada kaczek, cyranek [1] lub dzikich gęsi i szybowały w błękitnem przezroczu, po-

---

[1] gatunek dzikiej kaczki.

dobne do czarnych krzyżyków; czasem klucz żórawi zaczerniał wysoko na niebie, grając donośnym krzykiem, — zresztą cicho było naokoło, i spokojnie i słoneczno i wesoło, jak to bywa w pierwszych dniach sierpnia, gdy zboża już dojrzały, a słońce sypie jakoby złoto na ziemię.

Oczy starego człowieka to podnosiły się ku niebu, ścigając stada ptactwa, to znowu ginęły w oddali, ale coraz senniejsze, w miarę jak miodu w gąsiorku ubywało, i powieki ciężyły mu coraz bardziej — pszczoły śpiewały na różne tony swą piosenkę, jakoby umyślnie do poobiedniej drzemki.

— Tak, tak, dał Pan Bóg piękny czas na żniwa — mruknął pan Zagłoba. — I siano dobrze zebrane, i żniwa duchem pójdą... Tak, tak...

Tu przymknął oczy, poczem otworzył je znowu na chwilę — mruknął jeszcze: „Zmęczyły mnie dzieciska...“ — i usnął na dobre.

Spał dość długo, ale po pewnym czasie zbudził go lekki powiew chłodniejszego powietrza, oraz rozmowa i kroki dwóch mężów, zbliżających się szybko pod lipę. Jeden z nich był to pan Jan Skrzetuski, słynny zbarażczyk, który od miesiąca wróciwszy od hetmanów z Ukrainy, bawił w domu, lecząc się z febry upartej; drugiego nie znał pan Zagłoba, chociaż wzrostem, postawą i nawet rysami twarzy wielce był do Jana podobny.

— Przedstawiam wam, ojcaszku, — rzekł Jan, — stryjecznego mego, pana Stanisława Skrzetuskiego ze Skrzetuszewa, rotmistrza kaliskiego.

— Waszmość pan tak do Jana podobny, — odparł Zagłoba, mrugając oczyma i strząsając resztki snu z powiek, — że gdziebym waszmości spotkał, zarazbym powiedział: „Skrzetuski!“ Hej, co za gość w domu!

— Miło mi zabrać znajomość z waćpanem dobrodziejem, — odparł Stanisław, — tem bardziej, że imię znane mi było dobrze, bo je rycerstwo w całej Rzeczypospolitej ze czcią powtarza i za przykład podaje.

— Nie chwaląc się, robiło się, co mogło, póki się siłę czuło w kościach. Jeszcze i teraz radby człek wojny pokosztował, bo consuetudo altera natura. Ale czemu to waćpanowie tak strapieni jesteście, aż Janowi oblicze pobladło.

— Stanisław straszne przywiózł wieści — odrzekł Jan. — Szwedzi weszli do Wielkopolski i już ją całkiem zajęli.

Pan Zagłoba zerwał się z ławy, jakby mu czterdzieści lat ubyło, otworzył szeroko oczy i począł mimowoli macać się po boku, jakby szukając szabli.

— Jakto? — rzekł, — jakto: całą ją zajęli?

— Bo ją wojewoda poznański i inni wydali pod Ujściem w ręce nieprzyjaciela — odparł Stanisław Skrzetuski.

— Dla Boga!... Co waćpan mówisz!... Poddali się?!...

— Nietylko się poddali, ale podpisali ugodę, w której wyrzekli się króla i Rzeczypospolitej... Odtąd tam ma już być Szwecja, nie Polska.

— Na miłosierdzie Boskie!... Na rany Ukrzyżowanego!... To się chyba świat kończy?... Co ja słyszę?... Jeszcześmy wczoraj z Janem mówili o tej groźbie od Szweda, bo były wieści, że idą, ale obaj byliśmy pewni, że to się na niczem skończy, a co najwięcej na wyrzeczeniu się tytułu króla szwedzkiego przez naszego pana, Jana Kazimierza.

— A tymczasem zaczęło się od utraty prowincji, a skończy się, Bóg wie na czem.

— Przestań waćpan, bo mnie krew zaleje!... Jakże? I waćpan był pod Ujściem?... i waćpan patrzył na to wszystko własnemi oczyma?!... Toż to poprostu zdrada była najzaraźliwsza, w dziejach niesłychana!

— I byłem i patrzyłem, a czy to była zdrada, sam waszmość, gdy wszystko usłyszysz, osądzisz. Staliśmy pod Ujściem, pospolite ruszenie i piechota łanowa, razem z piętnaście tysięcy ludzi, i zalegaliśmy pasy nad Notecią ab incursione hostili [1]. Prawda, że wojska było mało, a waszmość, jako doświadczony żołnierz, wiesz najlepiej, czy pospolite

[1] od najazdu nieprzyjacielskiego.

ruszenie może je zastąpić, a tem bardziej wielkopolskie, gdzie szlachta znacznie od wojny odwykła. Jednakże, gdyby się wódz był znalazł, można było po staremu dać wstręt nieprzyjacielowi i przynajmniej zatrzymać go, pókiby Rzeczpospolita jakich posiłków nie obmyśliła. Ale ledwie się Wittemberg pokazał, zaczęto zaraz paktować, nim się kropla krwi polała. Potem przyjechał Radziejowski i swemi namowami sprawił to, co mówiłem, to jest i nieszczęście i hańbę, jakiej przykładu dotąd nie było.

— Jakże? nikt się nie opierał?... Nikt nie protestował? Nikt zdrady na oczy tym szelmom nie wyrzucił?... Wszyscyż się na zdradę ojczyzny i pana zgodzili?...

— Ginie cnota, a z nią i Rzeczpospolita, bo prawie wszyscy się zgodzili... Ja, dwóch panów Skoraszewskich, pan Ciświcki i pan Kłodziński, czyniliśmy, cośmy mogli, aby ducha między szlachtą do oporu pobudzić. Pan Władysław Skoraszewski mało nie oszalał; lataliśmy po obozie od powiatu do powiatu, i Bóg widzi, nie było tych zaklęć, którychbyśmy nie użyli. Ale cóż to pomogło, gdy większość wolała jechać z łyżkami na bankiet, który im Wittemberg obiecał, niż z szablami na bitwę. Widząc to, cnotliwsi rozjechali się na wszystkie strony — jedni do domów, drudzy do Warszawy. Panowie Skoraszewscy ruszyli właśnie do Warszawy i pierwsi wiado-

mość królowi przywiozą, a ja, nie mając żony, ni dzieci, tu przyjechałem do brata, w tej myśli, że się przecie razem na nieprzyjaciela wybierzemy. Szczęściem, żem waszmościów w domu zastał!

— To waszmość prosto z pod Ujścia?

— Prosto. Tylem tylko po drodze wypoczywał, ile było trzeba dla koni, a i to jeden mi padł ze zmęczenia. Szwedzi muszą już być w Poznaniu i stamtąd prędko się po całym kraju rozleją.

Tu umilkli wszyscy. Jan siedział z dłońmi opartemi na kolanach, oczy wbił w ziemię i zamyślił się ponuro, pan Stanisław wzdychał, a pan Zagłoba, nie ochłonąwszy jeszcze, spoglądał osłupiałym wzrokiem, to na jednego, to na drugiego...

— Złe to są znaki — rzekł wkońcu posępnie Jan. — Dawniej na dziesięć zwycięstw przychodziła jedna klęska i świat dziwiliśmy męstwem. Dziś przychodzą nietylko klęski, ale i zdrady — nietylko pojedynczych osób, ale całych prowincyj. Niech Bóg zmiłuje się nad ojczyzną!...

— Dla Boga! — rzekł Zagłoba, — widziałem na świecie dużo, słyszę, rozumiem, a jeszcze mi się wierzyć nie chce...

— Co myślisz czynić, Janie? — rzekł Stanisław.

— Pewnie, że w domu nie ostanę, chociaż mnie zimno jeszcze trzęsie. Żonę i dzieci

trzeba będzie gdzie bezpiecznie umieścić. Pan Stabrowski, mój krewny, jest łowczym królewskim w puszczy Białowieskiej, i w Białowieży mieszka. Choćby cała Rzeczpospolita wpadła w moc nieprzyjaciół, to przecie tam nie trafią. Jutro zaraz żonę i dzieci wyślę.

— I nie będzie to zbytnia ostrożność, — odrzekł Stanisław, — bo choć z Wielkopolski tutaj daleko, kto wie, czy płomień wkrótce i tych stron nie ogarnie.

— Trzeba będzie szlachcie dać znać, — rzekł Jan, — ażeby się kupili i o obronie myśleli, bo tu jeszcze nikt o niczem nie wie.

Tu zwrócił się do pana Zagłoby:

— A wy, ojcze, pójdziecie z nami, czyli też Helenie zechcecie do puszczy towarzyszyć?

— Ja? — odpowiedział pan Zagłoba, — czy pójdę? Chybaby mi nogi korzenie w ziemię puściły, wtedybym nie poszedł, a i to prosiłbym kogo, żeby mnie wykarczował. Tak mi się chce szwedzkiego mięsa znowu pokosztować, jak wilkowi baraniny! Ha! szelmy, pludraki, pończoszniki! [1]... Pchły im po łydkach inkursję czynią, więc nogi ich swędzą i przez to w domu usiedzieć nie mogą, jeno do cudzych krajów lezą... Znam ja ich, takich synów, bom jeszcze pod panem Koniecpolskim przeciw nim czynił, — a chcecie waszmościowie wiedzieć, kto wziął w jasyr Gustawa

[1] chodzący w pończochach, co szlachcie polskiej wydawało się śmiesznem.

Adolfa, to się nieboszczyka pana Koniecpolskiego spytajcie. Nic więcej nie powiem! Znam ja ich, ale i oni mnie znają... Nie może być inaczej, tylko się szelmy zwiedzieli, że Zagłoba się zestarzał. Tak? Poczekajcie! zobaczycie go jeszcze!... Panie! Panie wszechmogący! czemuś to tak tę nieszczęsną Rzeczpospolitą rozgrodził, że wszystkie świnie sąsiedzkie włażą do niej teraz i trzy najlepsze prowincje już spyskały [1]! Ot, co jest! Ba! ale któż temu winien, jeśli nie zdrajcy? Nie wiedziała zaraza kogo brać, i zacnych ludzi pobrała, a zdrajców zostawiła. Dajże Boże jeszcze raz powietrze na pana wojewodę poznańskiego i na kaliskiego, a zwłaszcza na Radziejowskiego z całą rodziną. A jeśli chcesz więcej obywatelów piekłu przysporzyć, to poślij wszystkich tych, którzy oną kapitulację [2] pod Ujściem podpisali. Zestarzał się Zagłoba? zestarzał? — Zobaczycie! Janie! radźmy prędzej, co czynić, bo jużbym chciał na końskim grzbiecie siedzieć!

— Pewnie, że trzeba radzić, gdzie iść. Na Ukrainę do hetmanów ciężko się przedostać, bo ich tam nieprzyjaciel odciął od Rzeczypospolitej i tylko do Krymu mają wolną drogę. Szczęście, że teraz Tatarzy po naszej stronie. Wedle mojej głowy, trzeba nam będzie do króla do Warszawy ruszyć, pana kochanego bronić!

---

[1] zryły. [2] umowę, dotyczącą warunków poddania się.

— Byle był na to czas — odrzekł Stanisław. — Król jegomość musi tam nagwałt zbierać chorągwie i, wprzód nim przyjdziemy, na nieprzyjaciela pociągnie, a może i spotkanie już nastąpi.

— I to być może.

— Jedźmy tedy ku Warszawie, byle śpiesznie — rzekł Zagłoba. — Posłuchajcie waćpanowie... Prawda, że nasze imiona groźne są nieprzyjacielowi, ale przecie we trzech niewiele wskóramy, więc jabym radził tak: Skrzyknijmy szlachty na ochotnika ile się da, żeby tak choć z chorągiewkę panu przyprowadzić. Łatwo ich do tego namówimy, bo i tak muszą ruszyć, gdy przyjdą wici na pospolite ruszenie, więc im to wszystko jedno, — a powiemy, że kto przed wiciami dobrowolnie stanie, miłą panu rzecz uczyni. Z większą siłą, więcej można będzie sprawić i przyjmą nas z otwartemi rękoma.

— Nie dziw się waszmość moim słowom, — rzekł pan Stanisław, — ale po tem, com widział, takiego do pospolitego ruszenia nabrałem wstrętu, że wolę sam iść, niżeli z tłumem ludzi wojny nie znających.

— To waszmość nie znasz tutejszej szlachty. Tu jednego takiego nie upatrzysz, któremby w wojsku nie sługiwał. Wszystko ludzie doświadczeni i dobrzy żołnierze.

— Chyba że tak.

— Zaś miałoby być inaczej? Ale poczekaj-

cie-no! Jan to już wie, że gdy raz pocznę głową robić, to mi sposobów nie brak. Dlatego w wielkiej żyłem konfidencji z wojewodą ruskim, księciem Jeremim. Niech Jan zaświadczy, ile razy ten największy w świecie wojownik szedł za moją radą i zawsze na tem wygrywał.

— Mówcie-no, ojcze, co chcecie powiedzieć, bo czasu szkoda — rzekł Jan.

— Co chciałem powiedzieć? Oto, co chciałem powiedzieć: nie ten broni ojczyzny i króla, kto się króla za poły trzyma, ale ten, kto nieprzyjaciela bije; a bije ten najlepiej, kto pod wielkim wojownikiem służy. Poco mamy na niepewne do Warszawy chodzić, kiedy król jegomość właśnie może już do Krakowa, do Lwowa, albo na Litwę wyjechał; ja waszmościom radzę, abyśmy bez zwłoki udali się pod chorągwie hetmana wielkiego litewskiego, księcia Janusza Radziwiłła. Szczery to pan i wojenny. Chociaż go o pychę pomawiają, pewnie nie będzie on przed Szwedami kapitulował. To przynajmniej wódz i hetman, jak się należy. Ciasno tam będzie, prawda, bo z dwoma nieprzyjaciółmi robota; ale zato pana Michała Wołodyjowskiego zobaczymy, który w kompucie litewskim służy, i znów po staremu do kupy się zbierzem, jako za dawnych czasów. Jeżeli nie dobrze radzę, niechże mnie pierwszy Szwed za rapcie w jasyr poprowadzi.

— A kto wie? a kto wie? — odrzekł żywo Jan. — Może tak będzie najlepiej.

— I jeszcze Halszkę z dziećmi po drodze odprowadzimy, bo właśnie przez puszczę przyjdzie nam jechać...

— I w wojsku, nie między pospolitakami, będziem służyli — dodał Stanisław.

— I będziem się bić, nie sejmikować, ani kury po wsiach i twarogi wyjadać.

— Waszmość to, widzę, nietylko w wojnie, ale i w radzie prym [1] możesz trzymać — rzekł pan Stanisław.

— Co? ha?

— Istotnie, istotnie! — rzekł Jan. — Najlepsza to rada. Po staremu, kupą z Michałem pójdziemy. Poznasz, Stanisławie, największego żołnierza w Rzeczypospolitej i przyjaciela mego szczerego, brata. Pójdźmy teraz do Halszki powiedzieć jej, żeby się też w drogę szykowała.

— Aza wie ona już o wojnie? — zapytał pan Zagłoba.

— Wie, wie, bo przy niej najpierwej Stanisław opowiadał. Cała we łzach nieboga... Ale gdym jej rzekł, że trzeba iść, zaraz mi powiedziała: „Idź!“

— Chciałbym jutro już ruszyć! — zakrzyknął Zagłoba.

— To też wyruszymy jutro, i to do dnia — rzekł Jan. — Ty, Stanisławie, musisz być fa-

---

[1] pierwszeństwo.

tigatus wielce po drodze, ale do jutra wywczasujesz się, jak będziesz mógł. Ja dziś jeszcze konie wyślę z pewnymi ludźmi do Białej, do Łosic, do Drohiczyna i do Bielska, żeby wszędzie świeże były na przeprzążkę [1]. A za Bielskiem puszcza tuż. Wozy z zapasami wyjdą także dzisiaj. Żal z kochanego kąta ruszać w świat, ale wola Boska! Tem się pocieszam, że o żonę i dziatki będę bezpieczny, bo puszcza najlepsza to w świecie forteca. Chodźcie waszmościowie do domu, bo czas się ekspedycją zająć.

Poszli.

Pan Stanisław, zdrożony wielce, ledwie się posiliwszy i napiwszy, zaraz spać poszedł, a pan Jan z panem Zagłobą zakrzątnęli się około wyprawy. I że ład był u pana Jana wielki, więc wozy i ludzie ruszyli tegoż jeszcze wieczora, na noc, a nazajutrz dzień pociągnęła za nimi kolaska, w której siedziała Helena z dziećmi i jedna stara panna, rezydentka. Pan Stanisław, pan Jan, wraz z pięcioma pachołkami, jechali konno koło kolaski. Cały orszak posuwał się żywo, bo po miastach świeże konie czekały.

Tak jadąc, i nie wypoczywając nawet nocami, piątego dnia dojechali do Bielska, a szóstego pogrążyli się już w puszczę od strony Hajnowszczyzny.

---

[1] tu: zmianę.

Objęły ich wraz mroki olbrzymiego boru, który podówczas kilkadziesiąt mil kwadratowych okrywał, łącząc się z jednej strony pasmem nieprzerwanem aż hen z puszczą Zielonką i Rogowską, z drugiej z pruskiemi borami.

Żaden najezdnik nie deptał nigdy nogą tych ciemnych głębin, w których człek nieobeznany mógł zabłądzić i błąkać się wkoło, aż póki nie padł z wysilenia lub nie poszedł na łup drapieżnym zwierzętom. Nocami odzywały się tu ryki żubrów i niedźwiedzi, wraz z wyciem wilków i beczeniem chrapliwem rysiów. Niepewne drogi wiodły wśród gęstwy lub gołoborza [1], obok zwałów, wywrotów [2], bagien i straszliwych śpiących jeziorek, do rozrzuconych wsi budników [3], smolarzy [4] i osaczników [5], którzy częstokroć przez całe życie nie wychylali się z puszczy. Do Białowieży tylko samej prowadził szerszy gościniec, przezywany Suchą drogą, którą królowie jeździli na łowy. Tędy też od strony Bielska i Hajnowszczyzny jechali Skrzetuscy.

Pan Stabrowski, łowczy królewski, stary samotnik i kawaler, siedzący ustawicznie jak żubr w puszczy, przyjął ich z otwartemi rę-

---

[1] niezarośniętych miejsc w lesie. [2] przewróconych drzew. [3] mieszkańców puszczy, którzy rąbali drzewa, wypalali potaż, itd. [4] pędzących smołę z drzew. [5] chłopów, mieszkających w puszczy, obowiązanych do osaczania i naganiania zwierzyny w czasie łowów.

kami; dzieci zaś mało nie zdusił w pocałunkach. Żył bowiem tylko z osacznikami, szlacheckiej twarzy nie widując, chyba wtedy, gdy dwór zjechał na łowy.

On to zawiadował całem gospodarstwem myśliwskiem i wszystkiemi smolarniami puszczy. Wielce się strapił wieścią o wojnie, o której się dopiero z ust pana Skrzetuskiego dowiedział.

Częstokroć bowiem tak bywało, że w Rzeczypospolitej paliła się wojna, umierał król, a do puszczy wieść o tem nawet nie dochodziła; dopiero pan łowczy przywoził nowiny, gdy od pana podskarbiego litewskiego wracał, któremu raz do roku rachunki z puszczańskiego gospodarstwa obowiązany był składać.

— Nudno tu będzie, bo nudno! — mówił pan Stabrowski do Heleny, — ale przezpiecznie, jakby nigdzie na świecie nie było. Żaden nieprzyjaciel nie przedrze się przez te ściany, a choćby i próbował, toby mu osacznicy wszystkich ludzi wlot wystrzelali. Łatwiej Rzeczpospolitą całą zawojować — czego Boże nie daj! — niż puszczę. Dwadzieścia lat już tu żyję, a i ja jej nie znam, bo są miejsca, gdzie dostąpić nie można i gdzie zwierz tylko mieszka, a może i złe duchy mają swoje stacje, do których się przed głosami dzwonów kościelnych chronią. Ale my żyjem po bożemu, bo we wsi jest kaplica, do której ksiądz

z Bielska raz na rok zjeżdża. Będzie wam tu jak w niebie, jeśli nuda nie dokuczy. Zato drzew na opał nie zbraknie...

Pan Jan rad był z całej duszy, że takie schronisko dla żony wynalazł; ale próżno go pan Stabrowski zatrzymywał i ugaszczał.

Przenocowawszy tylko, ruszyli rycerze nazajutrz świtaniem nawskroś puszczy w dalszą drogę, prowadzeni w labiryncie leśnym przez przewodników, których pan łowczy dostarczył.

ROZDZIAŁ V.

Gdy pan Jan Skrzetuski ze stryjecznym Stanisławem i panem Zagłobą, po uciążliwej drodze z puszczy przybyli wreszcie do Upity, pan Michał Wołodyjowski mało nie oszalał z radości, zwłaszcza że dawno już nie miał o nich żadnej wieści, o Janie zaś myślał, że znajduje się z chorągwią królewską, której porucznikował, na Ukrainie u hetmanów.

Brał ich też zkolei w ramiona, i wyściskawszy, znowu ściskał i ręce zacierał; a gdy mu powiedzieli, że pod Radziwiłłem chcą służyć, uradował się jeszcze bardziej na myśl, że nieprędko się rozłączą.

— Chwała Bogu, że do kupy się zbieramy, starzy zbarażczykowie — mówił. — Człowiek i do wojny większą ma ochotę, gdy czuje konfidentów koło siebie.

— To była moja myśl, — rzekł pan Zagłoba, — bo oni do króla chcieli lecieć... Ale ja powiedziałem: A czemu to nie mamy sobie z panem Michałem starych czasów przypomnieć? Jeśli nam Bóg tak poszczęści, jak z Kozakami i Tatarami szczęścił, to niejednego Szweda wkrótce mieć będziem na sumieniu.

— Bóg waści natchnął tą myślą! — rzekł pan Michał.

— Ale mi dziwno, — rzekł Jan, — żeście o Ujściu i o wojnie już wiedzieli. Stanisław ostatnim końskim tchem do mnie przyjechał, a my tak samo tu jechali, myśląc, że pierwsi będziem nieszczęście zwiastowali.

— Musiała przez żydów wieść tutaj przyjść, — rzekł Zagłoba, — bo oni zawsze najpierwsi wszystko wiedzą, i taka między nimi korespondencja, że jak który rano kichnie w Wielkopolsce, to już wieczorem mówią mu na Żmudzi i na Ukrainie: „Na zdrowie!“

— Nie wiem, jak to było, ale od dwóch dni wiemy — rzekł pan Michał — i konsternacja tu okrutna... Pierwszego dnia jeszcześmy niebardzo wierzyli, ale drugiego już nikt nie negował... Co więcej powiem: jeszcze wojny nie było, a rzekłbyś, ptaki o niej śpiewały w powietrzu, bo wszyscy naraz i bez powodu poczęli o niej gadać. Nasz książę wojewoda musiał się też jej spodziewać i coś przed innymi wiedzieć, bo się kręcił jak mucha w ukropie

i w ostatnich czasach do Kiejdan przyleciał. Zaciągi od dwóch miesięcy z jego rozkazu czyniono. Zaciągałem ja, Stankiewicz i niejaki Kmicic, chorąży orszański, który, jako słyszałem, już gotowiuśką chorągiew do Kiejdan odprowadził. Ten się najpierwej z nas wszystkich uwinął...

— Znasz-że ty, Michale, dobrze księcia wojewodę wileńskiego? — pytał Jan.

— Jak go nie mam znać, kiedym całą wojnę teraźniejszą pod jego komendą odbywał.

— Co wiesz o jego zamysłach? Zacny to pan?

— Wojownik jest doskonały; kto wie, czy po śmierci księcia Jeremiego w Rzeczypospolitej nie największy... Pobili go, prawda, teraz, ale miał sześć tysięcy wojska na ośmdziesiąt... Pan podskarbi i pan wojewoda witebski okrutnie go za to potępiają, mówiąc, iż przez to z tak małą siłą się porwał na ową niezmierną potęgę, ażeby się z nimi wiktorją nie dzielić... Bóg raczy wiedzieć, jak było... Ale stawał mężnie i sam życia nie szczędził... A ja, którym na wszystko patrzył, tyle tylko powiem, iż gdyby miał dosyć wojska i pieniędzy, noga nieprzyjacielska nie uszłaby z tego kraju. Tak myślę, że szczerze on się teraz weźmie do Szwedów, i pewno ich tu nie będziem czekali, ale do Inflant ruszymy.

— Z czegoż to suponujesz?

— Z dwóch powodów: raz, że książę będzie chciał reputację swą, nieco po cybichow-

skiej bitwie zachwianą, poprawić, a po wtóre, że wojnę kocha...

— Tak jest, — rzekł Zagłoba, — znam ja go, bośmy razem w szkołach byli i pensa [1] za niego odrabiałem. Zawsze się kochał w wojnie i dlatego lubił ze mną lepiej niż z innymi kompanję trzymać, bom ja także wolał konia i dzidkę niż łacinę.

— Z pewnością, że to nie wojewoda poznański, z pewnością, że to zgoła inny człowiek — rzekł pan Stanisław Skrzetuski.

Wołodyjowski począł go wypytywać o wszystko, co się pod Ujściem zdarzyło, i za czupryne się targał, słuchając opowiadania; wreszcie, gdy pan Stanisław skończył, rzekł:

— Masz waszmość słuszność! Nasz Radziwiłł do takich rzeczy niezdolny. Pyszny on jak djabeł, i zdaje mu się, że w całym świecie większego rodu od radziwiłłowskiego niema,— prawda! Oporu on nie znosi, prawda — i na pana podskarbiego Gosiewskiego, zacnego człeka, o to zgniewan, że ten nie skacze, jak mu Radziwiłły zagrają. Na króla jegomości także krzyw, że mu buławy wielkiej litewskiej dość prędko nie dał... Wszystko to prawda, jak i to, że woli w bezecnych błędach kalwińskich żyć, niż do prawdziwej wiary się nawrócić; że katolików, gdzie może,

[1] zadania szkolne.

ciśnie; że zbory [1] heretyków stawia. Ale zato przysięgnę, że wolałby ostatnią kroplę swojej pysznej krwi wytoczyć, niż taką kapitulację, jak pod Ujściem, podpisać... Będziem mieli wojny w bród, bo nie skryba [2], ale wojownik będzie nam hetmanił.

— W to mi graj! — rzekł Zagłoba. — Niczego więcej nie chcemy. Pan Opaliński skryba, i zaraz się pokazało, do czego zdatny... Najpodlejszy to gatunek ludzi! Każdy z nich niech jeno pióro z kupra gęsi wyciągnie, to zaraz myśli, że wszystkie rozumy pojadł... Taki syn innym przymawia, a jak przyjdzie do szabli, to go niemasz. Sam zamłodu rytmy układałem, żeby białogłowskie serca kaptować, i byłbym pana Kochanowskiego w kozi róg z jego fraszkami [3] zapędził, ale potem żołnierska natura wzięła górę.

— Przytem jeszcze i to wam powiem, — rzekł Wołodyjowski, — że skoro się tu szlachta ruszy, to się kupa ludzi zbierze, byle pieniędzy nie zabrakło, bo to rzecz najważniejsza.

— Na Boga, nie chcę pospolitaków! — zakrzyknął pan Stanisław. — Jan i jegomość pan Zagłoba znają już mój sentyment, a waszmości powiem, że wolę być ciurą w regularnej

---

[1] kościoły protestanckie. [2] pisarz (wojewoda poznański Krzysztof Opaliński pisał „Satyry“). [3] drobnemi żartobliwemi wierszykami.

chorągwi, niż hetmanem nad całem pospolitem ruszeniem.

— Tutejszy lud mężny — odrzekł pan Wołodyjowski — i bardzo sprawny. Mam tego przykład z mojego zaciągu. Nie mogłem pomieścić wszystkich, którzy się garnęli, a między tymi, których przyjąłem, niemasz i jednego takiego, coby poprzednio nie służył. Pokażę waściom tę chorągiewkę i upewniam, że gdybyście nie wiedzieli ode mnie, tobyście nie poznali, że to nie starzy żołnierze. Każdy bity i kuty w ogniu, jak stara podkowa, a w szyku stoją jako triarii rzymscy. Nie pójdzie z nimi tak łatwo Szwedom, jak pod Ujściem z Wielkopolanami.

— Mam nadzieję, że to Bóg wszystko odmieni — rzekł Skrzetuski. — Mówią, że Szwedzi dobrzy pachołkowie, ale przecie nigdy nie mogli naszym wojskom komputowym wytrzymać. Biliśmy ich zawsze — to już wypróbowana rzecz — biliśmy ich nawet wtedy, gdy im przywodził największy wojownik, jakiego kiedykolwiek mieli.

— Coprawda, to okrutniem ciekawy, co też umieją, — odpowiedział pan Wołodyjowski, — i gdyby nie to, że dwie inne wojny jednocześnie ojczyznę gnębią, wcalebym się o tę szwedzką nie rozgniewał. Poprόbowaliśmy i Turków i Tatarów i Kozaków i Bóg wie nie kogo — godzi się teraz Szwedów popróbować. W Koronie z tem tylko może być

kłopot, że wszystkie wojska z hetmanami na Ukrainie zajęte. Ale tu, widzę już, co się stanie. Oto książę wojewoda dotychczasową wojnę panu podskarbiemu Gosiewskiemu, hetmanowi polnemu, zostawi, a sam się Szwedami szczerze zajmie. Ciężko będzie, prawda! Wszelako miejmy nadzieję, że Pan Bóg pomoże.

— Jedźmy tedy, niemieszkając, do Kiejdan! — rzekł pan Stanisław.

— Dostałem też rozkaz, żeby chorągiew mieć w pogotowiu, a samemu się w trzech dniach w Kiejdanach stawić — odpowiedział pan Michał. — Ale muszę też waściom ten ostatni rozkaz pokazać, bo już z niego znaczno, że tam książę wojewoda myśli o Szwedach.

To rzekłszy, pan Wołodyjowski otworzył kluczem sepecik, stojący pod oknem na ławie, wydobył z niego papier złożony na dwoje, i rozwinąwszy, począł czytać:

„Mości panie Wołodyjowski pułkowniku!

„Z wielką radością odczytaliśmy raport Waszmości, że chorągiew już na nogach i w każdej chwili może w pochód ruszyć. Trzymaj ją Waćpan w czujności i pogotowiu, bo przychodzą tak ciężkie czasy, jakich jeszcze nie bywało, sam zaś przybywaj jak najśpieszniej do Kiejdan, gdzie go niecierpliwie oczekiwać będziemy. Gdyby Waszmości do-

chodziły jakie wieści — tym nie wierz, aż wszystko z naszych ust usłyszysz. Postąpimy tak, jak nam Bóg i sumienie nakazuje, bez uwagi na to, co złość i nieżyczliwość ludzka może na nas wymyślić. Ale zarazem cieszymy się, iż nadchodzą takie terminy, w których pokaże się dowodnie, kto jest szczerym i prawdziwym przyjacielem radziwiłłowskiego domu i kto nawet in rebus adversis [1] służyć mu gotów. Kmicic, Niewiarowski i Stankiewicz przyprowadzili tu już swoje chorągwie; waszmościna niech w Upicie zostanie, bo tam może być potrzeba, a może przyjdzie wam ruszyć na Podlasie pod komendą brata mojego stryjecznego jaśnie oświeconego księcia Bogusława, który tam znaczne partje naszych sił ma pod sobą. O tem wszystkiem dowiesz się dokładnie z ust naszych — tymczasem zaś polecamy wierności waszej pilne rozkazów spełnienie i oczekujemy cię w Kiejdanach.

Janusz Radziwiłł,
książę na Birżach i Dubinkach,
wojewoda wileński, hetman w. litewski.“

— Tak jest! widoczna już z tego listu nowa wojna! — rzekł Zagłoba.

— A że książę pisze, że postąpi, jak mu Bóg nakazuje, to znaczy, że będzie bił Szweda — dodał pan Stanisław.

---

[1] w przeciwnościach, w nieszczęściu.

— Dziwno mi tylko, — rzekł Jan Skrzetuski, — że pisze o wierności dla domu radziwiłłowskiego, nie dla ojczyzny, która więcej od Radziwiłłów znaczy i pilniejszego ratunku potrzebuje.

— To taka ich pańska maniera, — odparł Wołodyjowski, — choć i mnie się to zaraz nie spodobało, boć i ja ojczyźnie, nie Radziwiłłom, służę.

— A kiedyś ten list odebrał? — spytał Jan.

— Dziś rano, i właśnie po południu chciałem ruszyć. Wy się przez ten wieczór wywczasujecie po podróży, a ja jutro pewnie wrócę i zaraz z chorągwią ruszymy, gdzie nam każą.

— Może na Podlasie? — rzekł Zagłoba.

— Do księcia koniuszego! — powtórzył pan Stanisław.

— Książę koniuszy, Bogusław, także teraz w Kiejdanach — odparł Wołodyjowski. — Ciekawa to persona i pilnie mu się przypatrujcie. Wojownik wielki i rycerz jeszcze większy, ale niemasz w nim za grosz Polaka. Z cudzoziemska się nosi i po niemiecku, albo zgoła po francusku gada, jakoby orzechy gryzł, której mowy godzinę możesz słuchać i nic nie wyrozumiesz.

— Książę Bogusław pod Beresteczkiem pięknie sobie poczynał — rzekł Zagłoba — i poczet piękny niemieckiej piechoty wystawił.

— Ci, co go bliżej znają, niebardzo go chwalą, — mówił dalej Wołodyjowski, — bo się jeno w Niemcach i Francuzach kocha, co nie może inaczej być, gdyż się z Niemkini rodzi, elektorówny [1] brandenburskiej, za którą ojciec jego nieboszczyk nietylko że wiana żadnego nie wziął, ale, jak to widać u tych książątek chuda fara [2], jeszcze dopłacić musiał. Ale Radziwiłłom chodzi o to, by w Rzeszy Niemieckiej, której są książętami, suffragia mieli, i dlatego radzi z Niemcami się łączą. Powiadał mi o tem pan Sakowicz, dawny sługa księcia Bogusława, któremu ten starostwo oszmiańskie puścił. On i pan Niewiarowski, pułkownik, bywali z księciem Bogusławem zagranicą po różnych zamorskich krajach i zawsze na świadków do pojedynków sługiwali.

— Tyleż to on pojedynków odbywał? — pytał pan Zagłoba.

— Ile ma włosów na głowie! Różnych on tam książąt i grafów [3] zagranicznych, francuskich i niemieckich, siła poszczerbił, bo to, mówią, człek bardzo zapalczywy a mężny i o lada słowo na pole wyzywa.

Pan Stanisław Skrzetuski rozbudził się z zamyślenia i rzekł:

— Słyszałem i ja o księciu Bogusławie, bo to od nas do elektora niedaleko, u którego on

[1] córki księcia pruskiego, elektora brandenburskiego. [2] bieda. [3] hrabiów.

ciągle przesiaduje. Pamiętam i to jeszcze, co ojciec wspominał, że jak się rodzic księcia Bogusława z elektorówną żenił, to ludzie sarkali, że tak wielki dom, jak radziwiłłowski, z obcymi się łączy, ale bogdaj że lepiej się stało, gdyż teraz elektor, jako radziwiłłowski koligat [1], tem życzliwszy powinien być Rzeczypospolitej, a od niego teraz siła zależy. To, co waszmość powiadasz, że u nich chuda fara, to tak nie jest. Pewnie, że gdyby kto Radziwiłłów wszystkich sprzedał, toby za nich elektora z całem księstwem kupił, ale dzisiejszy kurfirst [2] Fryderyk Wilhelm zebrał już niemało grosza i ma dwadzieścia tysięcy wojska bardzo porządnego, z którem śmiało mógłby się Szwedom zastawić, co jako lennik Rzeczypospolitej powinien uczynić, jeżeli Boga ma w sercu i pamięta wszystkie dobrodziejstwa, które Rzeczpospolita jego domowi świadczyła.

— Zali on to uczyni? — pytał Jan.

— Czarna byłaby to niewdzięczność i wiarołomstwo z jego strony, gdyby inaczej postąpił! — odparł Stanisław.

— Ciężko to na wdzięczność cudzą liczyć, a zwłaszcza na heretycką — rzekł pan Zagłoba. — Pamiętam jeszcze wyrostkiem tego waszego kurfirsta; zawsze to mruk był, rzekłbyś: ciągle słuchał, co mu djabeł do ucha szepce. Powiedziałem mu to w oczy, gdyśmy

---

[1] tu: powinowaty. [2] elektor brandenburski.

z panem Koniecpolskim nieboszczykiem w Prusach byli. Taki on luter, jak i król szwedzki. Daj Boże, żeby się jeszcze ze sobą przeciw Rzeczypospolitej nie sprzymierzyli...

— Wiesz co, Michale? — rzekł nagle Jan. — Nie będę dziś wypoczywał, ale pojadę z tobą do Kiejdan. Teraz nocami lepiej jechać, bo we dnie upał, a pilno mi już wyjść z niepewności. Na wypoczynek jeszcze czas, bo pewnie książę jutro jeszcze nie ruszy.

— Tem bardziej, że chorągiew kazał w Upicie zatrzymać — odrzekł pan Michał.

— Dobrze mówicie! — zawołał pan Zagłoba — pojadę i ja!

— To jedźmy wszyscy razem — dodał pan Stanisław.

— Akurat na jutro rano będziemy w Kiejdanach, — rzekł pan Wołodyjowski, — a w drodze i na kulbakach można się słodko przedrzemać.

We dwie godziny później, podjadłszy i podpiwszy nieco, ruszyli rycerze w podróż, i jeszcze przed zachodem słońca stanęli w Krakinowie.

Przez drogę opowiadał im pan Michał o okolicy, o sławnej szlachcie laudańskiej, o Kmicicu, i o wszystkiem, co się od pewnego czasu zdarzyło. Przyznał się i do afektu swego dla panny Billewiczówny, nieszczęśliwego, jak zwykle.

— Cała rzecz, że wojna bliska, — mówił, — bo inaczej srodzebym się zmartwił, gdyż czasem myślę, że takie to już moje nieszczęście i że chyba przyjdzie mi i umrzeć w kawalerskim stanie.

— Nie stanie ci się krzywda, — rzekł pan Zagłoba, — bo zacny to jest stan i Bogu miły. Umyśliłem też trwać w nim do końca życia. Czasem i żal, że nie będzie komu sławy i imienia przekazać, bo chociaż miłuję dzieci Jana jak swoje, wszelako Skrzetuscy, to nie Zagłobowie.

— O niecnoto! — rzekł Wołodyjowski. — Takeś się waćpan wcześnie z tem postanowieniem wybrał, jak wilk, który ślubował owiec nie dusić, gdy mu wszystkie zęby wypadły.

— A nieprawda! — rzekł Zagłoba. — Nie tak to dawno, panie Michale, jakeśmy ze sobą w Warszawie na elekcji byli. Za kimże się wszystkie podwiki oglądały, jeśli nie za mną?... Pamiętasz, jakeś to narzekał, że na ciebie żadna nie spojrzy? Ale jeśli taką masz ochotę do stanu małżeńskiego, to się nie martw. Przyjdzie i twoja kolej. Na nic tu szukanie, i właśnie wtedy znajdziesz, kiedy nie będziesz szukał. Teraz czasy wojenne i siła zacnych kawalerów co rok ginie. Niech jeno i ta szwedzka wojna potrwa, to dziewki doreszty stanieją i będziemy je na tuziny na jarmarku kupowali.

— Może i mnie zginąć przyjdzie — rzekł pan Michał. — Dość mam tego kołatania się po świecie. Nigdy waściom nie zdołam wypowiedzieć, jak zacna jest i urodziwa panna, ta Billewiczówna. Byłby ją człowiek miłował i hołubił, jakby co najlepszego... Nie! musieli djabli przynieść tego Kmicica... Chyba on jej coś zadał, nie może inaczej być, bo gdyby nie to, pewnieby mnie nie przepędziła. Ot, patrzcie! Właśnie tam z za górki Wodokty widać, ale w domu niemasz nikogo, bo ona pojechała Bóg wie gdzie... Moje to byłoby schronisko; niechbym był tu żywota dokonał... Niedźwiedź ma swój barłóg, wilk swoją jamę, a ja, ot! jeno tę szkapę i tę kulbakę, na której siedzę...

— To widzę, że cię jak cierń zakłuła? — rzekł pan Zagłoba.

— Pewnie, że jak sobie wspomnę, albo, mimo przejeżdżając, Wodokty zobaczę, to mi jeszcze żal... Chciałem klin klinem wybić i pojechałem do pana Schyllinga, który ma córkę bardzo urodziwą. Raz ją w drodze zdaleka widziałem i okrutnie mi w oko wpadła. Pojechałem tedy — i cóż waćpaństwo powiecie? — ojcam w domu nie zastał, a panna Kachna myślała, że to nie pan Wołodyjowski, tylko pachołek pana Wołodyjowskiego przyjechał... Takem ten afront wziął do serca, żem się tam więcej nie pokazał.

Zagłoba począł się śmiać.

— Bodajże cię, panie Michale! Cała rzecz w tem, żebyś znalazł żonę tak nikczemnej urody, jak sam jesteś. A gdzie się to ona bestyjka podziała, co to przy księżnie Wiśniowieckiej respektową była, z którą to nieboszczyk pan Podbipięta — Panie, świeć nad jego duszą — miał się żenić? Ta miała urodę w sam raz dla ciebie, bo istna to była pestka [1], choć jej się oczy okrutnie świeciły.

— To Anusia Borzobohata-Krasieńska — rzekł pan Jan Skrzetuski. — Wszyscyśmy się w niej swego czasu kochali, i Michał także. Bóg raczy wiedzieć, co się z nią teraz dzieje.

— Żeby ją tak odszukać, a pocieszyć! — rzekł pan Michał. — Jakeście ją wspomnieli, aż mi się ciepło koło serca uczyniło. Najzacniejsza to była dziewka. Bógby mi dał ją spotkać!... Ej, dobre to były dawne łubniańskie czasy, ale się już nigdy nie wrócą. Nie będzie też już chyba nigdy takiego wodza, jak był nasz książę Jeremi. Człowiek wiedział, że po każdem spotkaniu wiktorja nastąpi. Radziwiłł wielki wojownik, ale nie taki, i już nie z tem sercem mu się służy, bo on i jego ojcowskiego afektu dla żołnierzy nie ma, i do konfidencji nie dopuszcza, mając się za jakowegoś monarchę, chociaż przecie Wiśniowieccy nie gorsi byli od Radziwiłłów.

---

[1] tu: drobna, maleńka osóbka.

— Mniejsza z tem — rzekł Jan Skrzetuski. — W jego ręku teraz zbawienie ojczyzny, a że gotów za nią życie oddać, niech mu Bóg błogosławi.

Tak to rozmawiali rycerze, jadąc wśród nocy, i to dawne sprawy wspominali, to mówili o teraźniejszych ciężkich czasach, w których trzy wojny naraz zwaliły się na Rzeczpospolitą.

Później zabrali się do pacierzy wieczornych i do odmawiania litanji, a gdy ją skończyli, sen ich zmorzył i zaczęli drzemać i kiwać się na kulbakach.

Noc była pogodna, ciepła, gwiazdy migotały tysiącami na niebie; oni, jadąc noga za nogą, spali smaczno, aż dopiero, gdy zaczęło świtać, zbudził się pierwszy pan Michał.

— Mości panowie, otworzyć oczy, Kiejdany już widać! — zakrzyknął.

— Co? hę? — rzekł Zagłoba. — Kiejdany? gdzie?

— A ot, tam! Wieże widać.

— Zacne jakieś miasto — rzekł Stanisław Skrzetuski.

— Bardzo zacne, — odpowiedział Wołodyjowski, — i po dniu jeszcze lepiej się waszmościowie o tem przekonacie.

— Wszakże to dziedzictwo księcia wojewody?

— Tak jest. Przedtem było Kiszków, od których je ojciec teraźniejszego księcia otrzy-

mał w posagu za Anną Kiszczanką, córką wojewodzica witebskiego. W całej Żmudzi niemasz tak porządnego miasta, bo Radziwiłłowie żydów nie puszczają, chyba za osobnem pozwoleniem. Miody tu sławne.

Zagłoba przetarł oczy.

— A to jacyś grzeczni ludzie tu mieszkają. Co to za okrutną budowlę widać tam na podniesieniu?

— To zamek świeżo zbudowany, już za panowania Janusza.

— Obronny?

— Nie, ale rezydencja wspaniała. Nie czyniono go warownym, bo nieprzyjaciel nigdy nie zachodził w te strony od czasów krzyżackich. Ten śpiczasty szczyt, który tam w środku miasta widzicie, to od kościoła farnego. Krzyżacy go wznieśli jeszcze za czasów pogańskich, później był kalwinom oddany, ale go ksiądz Kobyliński znowu dla katolików wyprocesował od księcia Krzysztofa.

— To i chwała Bogu!

Tak rozmawiając, dojechali bliżej do pierwszych domków przedmieścia.

Tymczasem stawało się coraz jaśniej na świecie i słońce poczynało wschodzić. Rycerze przyglądali się z ciekawością nieznanemu miastu, a pan Wołodyjowski dalej opowiadał:

— To jest ulica Żydowska, w której mieszkają ci z żydów, którzy mają pozwolenie. Jadąc tędy, dostaniesz się aż na rynek. Oho!

już ludzie budzą się i poczynają z domów wychodzić. Patrzcie! siła koni przed kuźniami i czeladź nie w barwach radziwiłłowskich. Musi być jaki zjazd w Kiejdanach. Pełno tu zawsze szlachty i panów, a czasem aż z obcych krajów przyjeżdżają, bo to jest stolica heretyków ze wszystkiej Żmudzi, którzy tu pod osłoną Radziwiłłów bezpiecznie swoje gusła i praktyki zabobonne odprawiają. Ot, i rynek! Uważcie waszmościowie, jaki zegar na ratuszu! Lepszego ponoć i w Gdańsku niemasz. A to, co bierzecie za kościół o czterech wieżach, to zbór helwecki [1], w którym co niedziela Bogu bluźnią — a tamto kościół luterski. Myślicie zaś, że tu mieszczanie Polacy albo Litwini? — wcale nie! Sami Niemcy i Szkoci, a Szkotów najwięcej! Piechota z nich bardzo przednia, szczególnie berdyszami sieką okrutnie. Ma też książę jegomość regiment jeden szkocki z samych ochotników kiejdańskich. Hej! co wozów z łubami na rynku! Pewnie zjazd jaki. Gospody żadnej niemasz w tem mieście, jeno znajomi do znajomych zajeżdżają, a szlachta do zamku, w którym są oficyny [2] długie na kilkadziesiąt łokci, tylko dla gości przeznaczone. Tam podejmują każdego uczciwie, choćby i przez rok, na koszt księcia pana, a są tacy, którzy całe życie tu siedzą.

---

[1] kalwiński. [2] boczne zabudowania.

— Dziwno mi to, że piorun tego zboru helweckiego nie zapalił? — rzekł Zagłoba.

— Jakbyś waść wiedział, że się to zdarzyło. W środku, między czterema wieżami, była kopuła jako czapka, w którą kiedyś jak trzasło, tak się nic z niej nie zostało. Tu, w podziemiach, leży ojciec księcia koniuszego Bogusława, Janusz, ten, który do rokoszu przeciw Zygmuntowi Trzeciemu należał. Własny hajduk mu czaszkę rozpłatał, i tak zginął marnie, jak i żył grzesznie.

— A to co za rozległa budowla, do szopy murowanej podobna? — pytał Jan.

— To jest papiernia od księcia założona, a tu obok drukarnia, w której się księgi heretyckie drukują.

— Tfu! — rzekł Zagłoba — zaraza na to miasto, gdzie człek innego powietrza jak heretyckie do brzucha nie wciąga. Lucyper mógłby tu tak dobrze panować, jak i Radziwiłł.

— Mości panie! — odpowiedział Wołodyjowski — nie bluźń Radziwiłłowi, bo może wkrótce ojczyzna zbawienie będzie mu winna...

I dalej jechali w milczeniu, poglądając na miasto i dziwiąc się jego porządkom, bo ulice całkiem były brukowane kamieniami, co w owych czasach za osobliwość uchodziło.

Przejechawszy rynek i ulicę Zamkową, ujrzeli na podniesieniu wspaniałą rezydencję, świeżo przez księcia Janusza wzniesioną, nie-

obronną istotnie, ale ogromem nietylko pałace, lecz i zamki przewyższającą. Gmach stał na wywyższeniu i patrzył na miasto, jakoby u stóp jego leżące. Z obu stron głównego korpusu [1] biegły dwa skrzydła niższe, załamując się pod kątami prostemi i tworząc olbrzymi dziedziniec, zamknięty od przodu kratą żelazną, nabijaną długiemi kolcami. W środku kraty wznosiła się potężna brama murowana, na niej herby radziwiłłowskie i herb miasta Kiejdan, przedstawiający nogę orlą ze skrzydłem czarnem w złotem polu, a u nogi podkowę o trzech krzyżach czerwoną. Nisko w bramie był odwach, i trabanci szkoccy straż tam trzymali, dla parady, nie dla obrony przeznaczoną.

Godzina była ranna, ale na dziedzińcu ruch już panował, albowiem przed głównym korpusem musztrował się pułk dragonów, przybrany w błękitne kolety i szwedzkie hełmy. Długi ich szereg stał właśnie nieruchomie, z gołemi rapierami w ręku, oficer zaś, przejeżdżając przed frontem, mówił coś do żołnierzy. Naokoło szeregu i dalej pod ścianami, mnóstwo czeladzi w rozmaitych barwach gapiło się na dragonów, czyniąc sobie wzajem rozmaite uwagi i spostrzeżenia.

— Jak mi Bóg miły! — rzekł pan Michał — toż to Charłamp pułk musztruje.

---

[1] tu: budynku.

— Jakto? — zawołał Zagłoba — tenże to sam, z którym miałeś się pojedynkować, w czasie elekcji, w Lipkowie?

— Tenże sam. Ale my od tego czasu w dobrej komitywie żyjemy.

— A prawda! — rzekł pan Zagłoba — poznaję go po nosie, który mu z pod hełmu sterczy. Dobrze, że przyłbice wyszły z mody, bo ten rycerz nie mógłby żadnej zamknąć; ale on i tak osobnej zbroi na nos potrzebuje.

Tymczasem pan Charłamp, spostrzegłszy Wołodyjowskiego, puścił się ku niemu rysią.

— Jak się miewasz Michałku? — zawołał. — Dobrze, żeś przyjechał!

— Lepiej, że ciebie pierwszego spotykam. Oto jest pan Zagłoba, któregoś w Lipkowie poznał, ba, przedtem jeszcze w Siennicy, a to panowie Skrzetuscy: Jan, rotmistrz królewskiej husarskiej chorągwi, zbarażczyk...

— Na Boga! toż ja największego w Polsce rycerza widzę! — zakrzyknął Charłamp. — Czołem, czołem!

— A to Stanisław, rotmistrz kaliski, — mówił dalej pan Wołodyjowski, — który z pod Ujścia wprost jedzie.

— Z pod Ujścia?... Na okrutną tedy hańbę waćpan patrzyłeś... Wiemy już, co się tam stało.

— Właśnie dlatego, że się tam to stało, ja tu przyjechałem, w tej nadziei, że tu nic podobnego się nie stanie.

— Możesz waszmość być pewien. Radziwiłł, to nie Opaliński.

— Toż samo wczoraj mówiliśmy w Upicie.

— Witam waszmościów najradośniej imieniem własnem i książęcem. Rad książę wojewoda będzie, gdy takich rycerzy zobaczy, bo mu ich bardzo potrzeba. Chodźcie-że do mnie, do cekhauzu, gdzie jest moja kwatera. Pewnie zechcecie się przebrać i posilić, a ja będę wam też towarzyszył, bom już musztrę skończył.

To rzekłszy, pan Charłamp skoczył znów do szeregu i zakomenderował krótkim donośnym głosem:

— Lewo! zwrot — wtył!

Kopyta zadźwięczały po bruku. Szereg rozłamał się na dwoje, połowy rozłamały się znowu, aż wreszcie sformowały się czwórki, które wolnym krokiem poczęły oddalać się w stronę cekhauzu.

— Dobrzy żołnierze — rzekł Skrzetuski, patrząc okiem znawcy na mechaniczne ruchy dragonów.

— Sama to drobna szlachta i bojarzynkowie putni w tej broni służą — odparł pan Wołodyjowski.

— O Boże! zaraz znać, że to nie pospolitaki! — zawołał pan Stanisław.

— Ale że to Charłamp im porucznikuje? — pytał Zagłoba. — Czyli się mylę, ale pamiętam, że on w piatyhorskiej

chorągwi służył i srebrną pętelkę nosił na ramieniu?

— Tak jest — rzekł Wołodyjowski. — Ale już z parę lat, jak pułkiem dragońskim dowodzi. Stary to żołnierz i kuty.

Tymczasem Charłamp, odesławszy dragonów, zbliżył się do naszych rycerzy.

— Proszę waszmościów za mną... Ot, tam cekhauz za pałacem.

W pół godziny później siedzieli już w pięciu nad misą piwa grzanego, dobrze zabielonego śmietaną, i rozmawiali o nowej wojnie.

— A u was tu co słychać? — pytał pan Wołodyjowski.

— U nas słychać codzień co innego, bo się ludzie gubią w domysłach i coraz to inne nowiny puszczają — odparł Charłamp. — A naprawdę, to jeden książę wie, co się stanie. Waży on coś w umyśle, bo choć symuluje wesołość i na ludzi tak łaskaw, jak nigdy, to przecież okrutnie zamyślony. Po nocach, powiadają, nie sypia, jeno po wszystkich komnatach ciężkim krokiem chodzi i sam ze sobą głośno gada, a we dnie przez całe godziny naradza się z Harasimowiczem.

— Cóż to za Harasimowicz? — spytał pan Wołodyjowski.

— To gubernator [1] z Zabłudowa, z Podlasia; niewielka figura i tak wygląda, jakby

---

[1] tu: rządca majątku.

djabła za pazuchą hodował; ale księcia pana poufny i podobno wszystkie jego arkana znający. Wedle mojej głowy, to okrutna i mściwa wojna ze Szwedem z tych narad wyniknie, do której wojny wszyscy wzdychamy. Tymczasem listy tu latają: od księcia kurlandzkiego, od Chowańskiego i od elektora. Są tu tacy, którzy powiadają, że książę z Moskwą paktuje, by ją do ligi [1] przeciw Szwedowi wciągnąć; inni, że przeciwnie; ale zdaje się, że z nikim ligi nie będzie, jeno wojna, jak rzekłem, z tymi i z owymi. Wojsk coraz więcej przychodzi, rozpisują listy do szlachty co najwierniejszej dla radziwiłłowskiego domu, aby się zjeżdżała. Wszędy pełno zbrojnego ludu... Ej, mości panowie! na kim się skrupi, na tym się zmiele, ale ręce będziem mieli po łokcie czerwone, bo jak Radziwiłł raz ruszy w pole, to nie będzie paktował.

— Oj, to! oj, to! — rzekł Zagłoba, zacierając dłonie. — Przyschło już niemało krwi szwedzkiej na moich rękach, i jeszcze niemało przyschnie... Niewielu już tych starych żołnierzy żyje, którzy mnie pod Puckiem i pod Trzcianą pamiętają; ale ci, którzy dotąd żyją, nigdy nie zapomną.

— A książę Bogusław tu jest? — pytał pan Wołodyjowski.

— A jakże. Prócz tego spodziewamy się

---

[1] przymierza.

dziś jakichś wielkich gości, bo pokoje górne wyprzątają, a wieczorem ma być bankiet w zamku. Wątpię, Michale, czy się dziś do księcia dostaniesz.

— Sam-że on mnie na dziś wezwał.

— To nic, ale okrutnie zajęty... Przytem... nie wiem, czy mogę waszmościom o tem mówić... wszelako za godzinę i tak wszyscy o tem wiedzieć będą... więc powiem... Tu się nadzwyczajne jakieś rzeczy dzieją...

— Co takiego? co takiego? — pytał Zagłoba.

— Owóż trzeba waćpanom wiedzieć, że przed dwoma dniami przyjechał tu pan Judycki, kawaler maltański [1], o którym musieliście słyszeć.

— A jakże, — rzekł Jan, — wielki to rycerz!

— Zaraz zaś po nim nadjechał i pan hetman polny Gosiewski. Dziwiliśmy się wielce, bo wiadoma rzecz, w jakiej emulacji i nieprzyjaźni pan hetman polny żyje z naszym księciem. Niektórzy tedy cieszyli się, że zgoda nastąpiła między panami, i mówili, że to ją właśnie inkursja szwedzka sprowadziła. Sam tak myślałem; tymczasem wczoraj zamknęli się we trzech na naradę, pozamykali wszystkie drzwi, nikt nic nie mógł słyszeć, o czem radzili; jeno pan Krepsztul, który wartę za

---

[1] członek zakonu rycerskiego.

drzwiami trzymał, mówił nam, że okrutnie głośno rozprawiali, a zwłaszcza hetman polny. Później sam książę odprowadził ich do komnat sypialnych, a w nocy, imaginujcie sobie (tu pan Charłamp zniżył głos), wartę każdemu we drzwiach postawili.

Pan Wołodyjowski aż się zerwał z miejsca.

— Na Boga! nie może być!

— A przecież tak jest... Przy jednych i przy drugich drzwiach Szkoci z rusznicami stoją i mają rozkaz pod gardłem nikogo nie wpuszczać i nie wypuszczać...

Rycerze spoglądali na się w zdumieniu, a pan Charłamp nie mniej był zdumiony własnemi słowami i patrzył na nich, wytrzeszczając oczy, jakoby czekał od nich wyjaśnienia zagadki.

— To się znaczy, że pan podskarbi w areszt wzięty?... Hetman wielki aresztował polnego? — mówił Zagłoba; — co to jest?

— Albo ja wiem. I Judycki, taki rycerz!

— Musieli przecie oficerowie książęcy mówić ze sobą o tem, zgadywać powody... Nic-żeś nie słyszał?

— Pytałem jeszcze wczoraj w nocy Harasimowicza...

— I cóż waćpanu powiedział? — pytał Zagłoba.

— Nic nie chciał mówić, jeno palce na gębę położył i rzekł: „To zdrajcy!“

— Jakto zdrajcy?... jakto zdrajcy? — wo-

łał, biorąc się za głowę, Wołodyjowski. — Ani pan podskarbi Gosiewski nie zdrajca, ani pan Judycki nie zdrajca. Toż ich cała Rzeczpospolita zna, jako zacnych ludzi i ojczyznę kochających.

— Dziś nikomu nie można wierzyć — odparł posępnie Stanisław Skrzetuski. — Albo to Krzysztof Opaliński nie uchodził za Katona? Alboż nie wyrzucał innym przywar, występków, prywaty?... A gdy przyszło co do czego, pierwszy zdradził, i nie własną tylko osobą, ale całą prowincję do zdrady pociągnął.

— Ależ ja za pana podskarbiego i za pana Judyckiego głowę daję! — wołał Wołodyjowski.

— Nie dawaj, Michałku, głowy za nikogo — odrzekł Zagłoba. — Jużci nie bez kozery [1] ich aresztowano. Musieli w jakieś konszachty wchodzić, nie może być inaczej... Jakto? książę gotuje się na wojnę okrutną i każda pomoc mu miła... Kogoż więc może w takiej chwili w areszt brać, jeżeli nie tych, co mu do wojny przeszkadzają?... Co jeśli tak jest, jeśli ci dwaj panowie istotnie przeszkadzali, to chwała Bogu, że ich uprzedzono. Warci w podziemiu siedzieć... Ha! szelmy!... W takiej chwili praktyki czynić [2], z nieprzyjacielem się znosić, na ojczyznę nastawać,

---

[1] przyczyny. [2] intrygować, knuć spiski.

wielkiemu wojownikowi w imprezie przeszkadzać!... Na Matkę Najświętszą, mało i tego, co ich spotkało!

— Dziwy to są, takie dziwy, że w głowie się nie chcą pomieścić, — rzekł Charłamp, — bo już pominąwszy, że to tak wielcy dygnitarze, aresztowano ich bez sądu, bez sejmu, bez woli Rzeczypospolitej całej, czego i sam król nie ma prawa uczynić.

— Jako żywo! — zakrzyknął pan Michał.

— Widać książę jegomość rzymskie chce u nas zaprowadzić zwyczaje — rzekł Stanisław Skrzetuski — i dyktatorem w czasie wojny zostać.

— A niech będzie i dyktatorem, byle Szwedów bił — odpowiedział Zagłoba. — Ja pierwszy votum za tem daję, aby mu dyktatura została powierzona.

Jan Skrzetuski zamyślił się i rzekł po chwili:

— Byle nie chciał zostać protektorem [1], jako ów Angielczyk Kromwel [2], któren na pana własnego nie wahał się świętokradzkiej ręki podnieść.

— Ba, Kromwel! Kromwel heretyk! — zakrzyknął Zagłoba.

— A książę wojewoda? — spytał poważnie pan Jan Skrzetuski.

---

[1] tu: naczelnym zwierzchnikiem. [2] wódz angielski, który, po obaleniu władzy królewskiej w Anglji, stanął na czele rządów republikańskich z tytułem protektora.

Na to umilkli wszyscy i ze strachem przez chwilę patrzyli w przyszłość ciemną, tylko pan Charłamp nasrożył się zaraz i rzekł:

— Służyłem pod księciem wojewodą z młodych lat, choć małom młodszy od niego, bo naprzód, młodzikiem jeszcze, był moim rotmistrzem, potem hetmanem polnym, a dziś jest wielkim. Znam go lepiej od waćpanów, a zarazem czczę i miłuję, dlatego proszę, nie równajcie go z Kromwelem, abym zaś nie musiał wam na to powiedzieć czegoś, czego mi, jako gospodarzowi w tej izbie, mówić nie wypada...

Tu pan Charłamp począł okrutnie wąsiskami ruszać i trochę zpodełba spoglądać na pana Jana Skrzetuskiego, co widząc pan Wołodyjowski, utkwił znów w pana Charłampa wzrok zimny i bystry, jakby mu chciał rzec:

— Warknij-no tylko!

Wąsal pomiarkował się zatem natychmiast, bo pana Michała miał w nadzwyczajnej estymie [1], a zresztą niebezpiecznie było się z nim gniewać, więc mówił dalej, tonem daleko już łagodniejszym:

— Kalwin książę jest, ale przecie wiary prawdziwej dla błędów nie porzucił, jeno się w nich urodził. Nigdy on nie zostanie ani Kromwelem, ani Radziejowskim, ani Opalińskim, choćby Kiejdany miały się w ziemię zapaść. Nie taka to krew, nie taki to ród!

---

[1] poszanowaniu.

— Jeśli jest djabłem i ma rogi na głowie,— rzekł pan Zagłoba, — to tem lepiej, bo będzie miał czem Szwedów bóść.

— Ale że pan Gosiewski i pan kawaler Judycki aresztowani?... no, no! — mówił, kręcąc głową, Wołodyjowski. — Niebardzo książę na swych gości, którzy mu zaufali, łaskaw.

— Co mówisz, Michale! — odparł Charłamp. — Tak łaskaw, jak nigdy w życiu nie był... Ojciec to teraz prawdziwy dla rycerstwa. Pamiętasz, jak to dawniej miał wiecznie kozła [1] na czole, a w gębie jedno słowo: „służba!“ Większy strach brał zbliżyć się do jego majestatu, niż do królewskiego, — a dziś każdego dnia między porucznikami i towarzystwem chodzi, a rozmawia, a każdego pyta o familję, o dzieci, o fortunę, i po nazwisku każdemu mówi, a rozpytuje, czy się komu w służbie krzywda nie dzieje. On, który pomiędzy największymi panami nie chce mieć równych, wczoraj — nie! onegdaj — chodził pod rękę z młodym Kmicicem, ażeśmy wszyscy oczom wierzyć nie chcieli, bo choć wielki to ród Kmicice, ale to całkiem młodziak i podobno siła grawaminów na nim cięży, o czem ty wiesz najlepiej.

— Wiem, wiem — rzekł Wołodyjowski. — To Kmicic dawno tu jest?

— Teraz go niema, bo wczoraj pojechał do

[1] zachmurzenie, marsa.

Czejkiszek po regiment piechoty, który tam stoi. Nikt teraz nie jest w takich faworach u księcia, jak Kmicic. Gdy odjeżdżał, książę spoglądał za nim przez chwilę, a potem rzekł: „Do wszystkiego ten to człowiek, i gotów samego djabła za ogon przytrzymać, gdy mu każę!“ Słyszeliśmy to na własne uszy. Prawda, że taką chorągiew Kmicic przyprowadził, jakiej drugiej w całem wojsku niemasz. Ludzie i konie, jak smoki.

— Niema co i gadać, dzielny to żołnierz i naprawdę gotów na wszystko — odrzekł pan Michał.

— Cudów ponoć dokazywał w ostatniej wojnie, aż cenę na jego głowę nałożono, bo wolentarzami dowodził i na własną rękę wojował.

Dalszą rozmowę przerwało wejście nowej postaci. Był to szlachcic, lat około czterdziestu, mały, suchy, ruchliwy, wijący się jak piskorz, z drobną twarzą, cienkiemi wargami, porosłemi rzadkim wąsem, i trochę kosemi oczyma. Ubrany był tylko w żupan drelichowy z tak długiemi rękawami, że zupełnie pokrywały mu dłonie. Wszedłszy, zgiął się we dwoje, potem wyprostował się nagle, jakby sprężyną podrzucony, potem znów schylił się w niskim ukłonie, zakręcił głową, jakby ją wydobywał z pod własnej pachy, i zaczął mówić szybko, głosem przypominającym skrzypienie zardzewiałej chorągiewki:

— Czołem, panie Charłamp, czołem, ach! czołem, panie pułkowniku, najniższy sługa!

— Czołem, panie Harasimowicz — odrzekł Charłamp. — A czego to waść życzysz?

— Bóg dał gości, znamienitych gości! Przyszedłem służby ofiarować i o godność spytać.

— Zali do ciebie przyjechali, panie Harasimowicz?

— Pewnie, że nie do mnie, bom tego i nie godzien... Ale że to marszałka nieobecnego zastępuję, więc przyszedłem powitać, nisko powitać!

— Daleko waćpanu do marszałka, — odrzekł Charłamp, — bo marszałek jest personat i posesjonat, a waćpan sobie, z przeproszeniem, podstarości zabłudowski.

— Sługa sług radziwiłłowskich! Tak jest, panie Charłamp. Nie zapieram, Boże mnie chroń... Ale że książę, dowiedziawszy się o gościach, przysłał mnie pytać, co za jedni, więc waść odpowiesz, panie Charłamp, odpowiesz zaraz, choćbym był nawet hajdukiem, nietylko podstarościm zabłudowskim.

— Nawet i małpiebym odpowiedział, gdyby do mnie z rozkazem przyszła — rzekł nosacz. — Słuchaj więc waść i zakonotuj sobie nazwiska, jeśli ci głowy nie staje, aby spamiętać. To jest pan Skrzetuski, ów zbarażczyk, i jego stryjeczny Stanisław.

— Wielki Boże, co słyszę! — zakrzyknął Harasimowicz.

— To pan Zagłoba.

— Wielki Boże! co słyszę!...

— Jeśliś się waćpan tak skonfundował, usłyszawszy moje nazwisko, — rzekł Zagłoba, — zrozum, jak nieprzyjaciele w polu muszą się konfundować.

— A to pan pułkownik Wołodyjowski — dokończył Charłamp.

— I to głośna szabla, a przytem radziwiłłowska — rzekł z ukłonem Harasimowicz. — Księciu panu głowa pęka od roboty, ale przecie dla takich rycerzy znajdzie czas, niezawodnie znajdzie... Tymczasem, czem można służyć waszmościom? Cały zamek na usługi miłych gości, i piwniczka także.

— Słyszeliśmy o sławnych miodach kiejdańskich — rzekł pośpiesznie Zagłoba.

— A tak! — odrzekł Harasimowicz — sławne miody w Kiejdanach, sławne! Zaraz tu przyślę do wyboru. Mam nadzieję, że waszmościowie dobrodzieje dłużej tu zabawicie.

— Poto my tu i przyjechali, żeby od boku księcia wojewody nie odstępować — rzekł pan Stanisław.

— Chwalebna intencja waszmościów, tem chwalebniejsza, że tak ciężkie czasy idą.

To rzekłszy, Harasimowicz skurczył się i stał się tak mały, jakby go łokieć ubyło.

— Co słychać? — pytał pan Charłamp. — Są jakie nowiny?

— Książę oka całą noc nie zmrużył, bo przyjechało dwóch posłańców. Źle słychać, i coraz gorzej. Carolus Gustavus już wszedł za Wittembergiem do Rzeczypospolitej; Poznań już zajęty, cała Wielkopolska zajęta, Mazowsze wkrótce będzie zajęte; Szwedzi już są w Łowiczu, tuż pod Warszawą. Nasz król uciekł z Warszawy, którą bez obrony zostawił. Dziś, jutro, Szwedzi do niej wejdą. Mówią, że i bitwę znaczną przegrał, że do Krakowa chce umykać, a stamtąd do cudzych krajów, o pomoc prosić. Źle, mości panowie dobrodzieje! Choć są tacy, którzy mówią, że to dobrze, bo Szwedzi żadnych gwałtów nie czynią, umów święcie dotrzymują, podatków nie wybierają, wolności obserwują, w wierze przeszkody nie czynią. Dlatego to wszyscy chętnie przyjmują protekcję Karola Gustawa... Zawinił bo nasz pan, Jan Kazimierz, srodze zawinił... Przepadło już wszystko dla niego, przepadło!... Płakać się chce, ale przepadło, przepadło!

— Czego się waćpan, u djabła, tak wijesz, jak piskorz, gdy go w garnek kładą! — huknął Zagłoba — i o nieszczęściu mówisz, jakbyś był z niego rad?

Harasimowicz udał, że nie słyszy, i wzniósłszy oczy w górę, powtórzył jeszcze kilkakrotnie:

— Przepadło wszystko, na wieki przepadło!... Trzem wojnom nie oprze się Rzecz-

pospolita... Przepadło!... Wola Boska!.... Wola Boska!... Jeden nasz książę może Litwę ocalić...

Złowrogie słowa jeszcze nie przebrzmiały, gdy Harasimowicz zniknął tak szybko za drzwiami, jakby się w ziemię zapadł, a rycerze siedzieli posępnie, brzemieniem strasznych myśli przygnieceni.

— Zwarjować przyjdzie! — zakrzyknął wreszcie Wołodyjowski.

— Słusznie waćpan mówisz — rzekł Stanisław; —dajże Boże wojnę, wojnę jak najprędzej, w której człowiek w domysłach się nie gubi, duszy w desperację nie podaje, jeno się bije.

— Przyjdzie żałować pierwszych czasów Chmielnickiego, — rzekł Zagłoba, — bo wtedy były klęski, ale zdrajców przynajmniej nie było.

— Takie straszne trzy wojny, gdy, po prawdzie, na jedną sił nam brak! — rzekł Stanisław.

— Nam nie sił brak, jeno ducha. Niecnotą ginie ojczyzna. Daj Boże, abyśmy się tu czego lepszego doczekali — mówił posępnie Jan.

— Nie odetchnę, aż w polu! — rzekł Stanisław.

— Żeby to już prędzej tego księcia zobaczyć! — zakrzyknął Zagłoba.

Życzenia jego spełniły się niebawem, gdyż po godzinie czasu przyszedł znów pan Harasimowicz, z niższemi jeszcze ukłonami

i z oznajmieniem, że książę pilno żąda widzieć ichmościów.

Porwali się tedy zaraz, bo już byli przybrani, i poszli. Harasimowicz, wyprowadziwszy ich z cekhauzu, przeprowadził przez dziedziniec, na którym pełno było już wojskowych i szlachty. W niektórych miejscach rozprawiano tłumnie, widocznie nad temi samemi nowinami, które rycerzom przyniósł podstarości zabłudowski. Na wszystkich twarzach malował się żywy niepokój i jakieś oczekiwanie gorączkowe. Pojedyncze grupy oficerów i szlachty słuchały mówców, którzy, stojąc pośrodku, gestykulowali [1] gwałtownie. Po drodze słychać było słowa: „Wilno się pali! Wilno spalone!... Ni śladu, ni popiołu! Warszawa wzięta!... Nieprawda, jeszcze nie wzięta!... Szwedzi już w Małopolsce! Sieradzanie opór dadzą!... Nie dadzą! pójdą śladem Wielkopolanów! Zdrada! Nieszczęście! O Boże, Boże! Nie wiadomo, gdzie ręce i szablę wetknąć!“

Takie to słowa, jedne od drugich straszniejsze, odbijały się o uszy rycerzy, a oni szli, przeciskając się za Harasimowiczem z trudnością przez wojskowych i szlachtę. Miejscami znajomi witali pana Wołodyjowskiego: „Jak się masz Michale? Źle z nami! Giniemy! Czołem, mości pułkowniku! A to co za gości

[1] wymachiwali rękami.

prowadzisz do księcia?“ — Pan Michał nie odpowiadał, chcąc zwłoki uniknąć, i tak doszli aż do głównego korpusu zamkowego, w którym janczarowie książęcy, przybrani w kolczugi i olbrzymie białe czapki, straż trzymali.

W sieni i na głównych schodach, obstawionych pomarańczowemi drzewami, ścisk był jeszcze większy, niż na podwórzu. Rozprawiano tu o aresztowaniu Gosiewskiego i kawalera Judyckiego, bo rzecz już się była wydała i poruszyła do najwyższego stopnia umysły. Zdumiewano się, gubiono w przypuszczeniach, oburzano się, lub chwalono książęcą przezorność; wszyscy zaś spodziewali się usłyszeć wyjaśnienie zagadki z ust samego księcia, dlatego rzeka głów płynęła po szerokich schodach na górę, do sali audjencjonalnej, w której w tej chwili książę przyjmował pułkowników i znakomitszą szlachtę. Trabanci, rozstawieni wzdłuż kamiennych poręczy, pilnowali, aby nie było zbyt wielkiego natłoku, powtarzając co chwila: „Zwolna, mości panowie! zwolna!“ — a tłum posuwał się lub zatrzymywał chwilami, gdy trabant zagradzał drogę halabardą, aby idący naprzód mieli czas wejść do sali.

Nakoniec lazurowe sklepienia sali zabłysły przez otwarte drzwi i nasi znajomi weszli. Wzrok ich padł naprzód na wzniesienie, ustawione w głębi sali, zajęte przez świetny orszak

rycerstwa i panów w pysznych różnobarwnych strojach. Na przedzie stało puste krzesło, wysunięte więcej od innych, z wysokiem tylnem oparciem, zakończonem złoconą mitrą [1] książęcą, z pod której spływał nadół amarantowy aksamit, obramowany gronostajami.

Księcia nie było jeszcze w sali, ale Harasimowicz, wiodąc ciągle za sobą rycerzy, przecisnął się przez zebraną szlachtę, aż do małych drzwi, ukrytych w ścianie obok wzniesienia; tam kazał się im zatrzymać, a sam zniknął za drzwiami.

Po chwili wrócił z doniesieniem, że książę prosi.

Dwaj Skrzetuscy z Zagłobą i Wołodyjowskim weszli teraz do niewielkiej komnatki, bardzo widnej, obitej skórą wytłaczaną w złociste kwiaty, i zatrzymali się, widząc w głębi, za stołem pokrytym papierami, dwóch ludzi pilną zajętych rozmową. Jeden z nich, młody jeszcze, przybrany w strój cudzoziemski i perukę o długich lokach, spadających na ramiona, szeptał coś do ucha starszego towarzysza, ten zaś słuchał ze zmarszczoną brwią i kiwał od czasu do czasu głową; tak zajęty był przedmiotem rozmowy, że nie zwrócił zrazu uwagi na przybyłych.

Był to człowiek czterdziestokilkoletni, postaci olbrzymiej i barczysty. Ubrany był

---

[1] tu: koroną.

w strój szkarłatny polski, spięty pod szyją kosztownemi agrafami. Twarz miał ogromną, o rysach, z których biła pycha, powaga i potęga. Była to gniewliwa lwia twarz wojownika i władcy zarazem. Długie, zwieszające się wdół wąsy nadawały jej wyraz posępny, i cała w swej potędze i ogromie była jakby wykuta wielkiemi uderzeniami młota z marmuru. Brwi miał w tej chwili zmarszczone z powodu natężonej uwagi, ale zgadłeś łatwo, że gdy je zmarszczy gniew, wówczas biada tym ludziom, tym wojskom, na których gromy owego gniewu spadną.

Było coś tak wielkiego w tej postaci, że patrzącym na nią rycerzom wydawało się, iż nietylko owa komnata, ale i cały zamek dla niej za ciasny; jakoż nie myliło ich pierwsze wrażenie, albowiem siedział przed nimi Janusz Radziwiłł, książę na Birżach i Dubinkach, wojewoda wileński i hetman wielki litewski, pan tak potężny i dumny, że mu było w całej niezmiernej fortunie, we wszystkich godnościach, ba! nawet na Żmudzi i w Litwie za ciasno.

Młodszy jego towarzysz, w długiej peruce i w cudzoziemskim stroju, był to książę Bogusław, stryjeczny Janusza, koniuszy Wielkiego Księstwa Litewskiego.

Przez chwilę szeptał on jeszcze coś do ucha hetmana, nakoniec rzekł głośno:

— Zostawiam więc swój podpis na dokumencie i wyjeżdżam.

— Skoro nie może być inaczej, to jedź wasza książęca mość, — rzekł Janusz, — choć wolałbym, żebyś został, bo nie wiadomo, co się stać może.

— Wasza książęca mość obmyśliłeś wszystko jak należy, zaś tam pilniej w sprawy trzeba wejrzeć, a zatem Bogu waszą książęcą mość polecam.

— Niech Bóg ma w opiece cały nasz dom i chwały mu przyczyni.

— Adieu, mon frère [1].

— Adieu.

Dwaj książęta podali sobie ręce, poczem koniuszy wyszedł śpiesznie, a hetman wielki zwrócił się do przybyłych.

— Wybaczcie waszmościowie, że pozwoliłem czekać, — rzekł niskim, powolnym głosem, — ale teraz i uwaga i czas rozerwane na wszystkie strony. Słyszałem już nazwiska waszmościów i ucieszyłem się w duszy, że Bóg w takich chwilach zsyła mi takich rycerzy. Siadajcież mili goście. Który z waszmościów jest pan Jan Skrzetuski?

— Jam jest, do usług waszej książęcej mości — rzekł Jan.

— To waszmość jesteś starostą... bodajże cię... zapomniałem...

---

[1] dowidzenia, mój bracie!

— Żadnym starostą nie jestem — odrzekł Jan.

— Jakto? — rzekł książę, marszcząc swe potężne brwi, — waści nie dali starostwa za to, coś pod Zbarażem uczynił?

— Nigdym o to nie zabiegał.

— Bo ci powinni byli dać bez starania. Jakto? Co waćpan mówisz? Niczemć nie nagrodzono? Zapomniano zgoła? To mi i dziwno. Ale ba! źle mówię, nie powinno to nikogo dziwić, bo teraz tacy tylko otrzymują nagrody, którzy mają grzbiet wierzbowy, łatwo się gnący. Waszmość nie jesteś starostą, proszę!... Niechże Bogu będą dzięki, żeś tu przyjechał, bo tu nie mamy tak krótkiej pamięci i żadna zasługa nie pozostanie bez nagrody — jako i twoja, mości pułkowniku Wołodyjowski...

— Na nic jeszcze nie zasłużyłem...

— Zostaw to mnie, a tymczasem weź ten dokument, w Rosieniach już roborowany [1], którym ci Dydkiemie w dożywocie puszczam. Niezły to kawał ziemi i sto pługów wychodzi w nim co wiosnę orać. Weźże i to, bo nie mogę dać więcej, a powiedz panu Skrzetuskiemu, że Radziwiłł nie zapomina swych przyjaciół, ani tych, którzy ojczyźnie pod jego wodzą oddali usługi.

— Wasza książęca mość!... — wyjąkał zmieszany pan Michał.

---

[1] zatwierdzony.

— Nie mów nic, i wybaczaj, że tak mało, ale powiedz, powiedz ichmościom, że nie zginie, kto swoją fortunę na zło i na dobro z radziwiłłowską połączy. Nie jestem królem, ale — gdybym nim był — Bóg mi świadek, że nie zapomniałbym nigdy takiego Jana Skrzetuskiego, ani takiego Zagłoby...

— To ja! — rzekł Zagłoba, wysuwając się raźno naprzód, bo już go to niecierpliwić zaczynało, że nie było o nim dotąd wzmianki.

— Zgaduję, że to waszmość, gdyż mi powiadano, żeś człek w lata podeszły.

— Do szkół z dostojnym rodzicem waszej książęcej mości chodziłem, a jako rycerska w nim była od dzieciństwa inklinacja [1], przeto mnie do poufałości przypuszczał, bo i ja wołałem dzidkę od łaciny.

Panu Stanisławowi Skrzetuskiemu, który Zagłobę mniej znał, dziwno to było słyszeć, gdyż wczorajszego jeszcze dnia Zagłoba mówił w Upicie, że nie z nieboszczykiem księciem Krzysztofem, ale z samym Januszem do szkół chodził, co było niepodobne, bo książę Janusz znacznie był młodszy.

— No, proszę, — rzekł książę, — to waćpan z Litwy rodem?

— Z Litwy! — odrzekł bez zająknienia pan Zagłoba.

---

[1] skłonność, pociąg.

— To zgaduję, żeś i waszmość żadnej nagrody nie otrzymał, bo my Litwini już przywykli do tego, że nas niewdzięcznością karmią... Dla Boga! gdybym waszmościom to dał, co im się słusznie należy, tedyby dla mnie samego nic nie zostało. Ale taki to los! My niesiem krew, życie, fortuny, i nikt nam za to głową nie kiwnie. Ha! trudno! jakie ziarno sieją, taki plon będą zbierali... Tak każe Bóg i sprawiedliwość... Waćpan-że to usiekłeś przesławnego Burłaja i ściąłeś trzy głowy pod Zbarażem?

— Burłaja ja usiekłem, wasza książęca mość, — rzekł Zagłoba, — bo powiadali, że z nim się żaden człowiek mierzyć nie może, więc chciałem pokazać młodszym, że męstwo nie całkiem jeszcze wygasło w Rzeczypospolitej... A co do trzech głów, mogło się to w gęstwie bitwy przytrafić... ale pod Zbarażem uczynił to kto inny.

Książę zamilkł na chwilę, poczem odezwał się znowu:

— Zali nie bolesna waszmościom ta wzgarda, jaką wam zapłacono?

— Co czynić, wasza książęca mość, choć człowiekowi i markotno — odparł Zagłoba.

— Pocieszcie-że się, bo się to musi zmienić... Już za to, żeście tu przyjechali, dłużnikiem waszym jestem, a chociażem nie król, przecie się u mnie na obietnicach nie kończy.

— Wasza książęca mość, — rzekł na to żywo i trochę dumnie pan Skrzetuski, — nie po nagrody i fortuny my tu przyjechali... Jeno że nieprzyjaciel naszedł ojczyznę, więc chcemy jej zdrowiem naszem iść w pomoc pod wodzą tak wsławionego wojownika. Brat mój, Stanisław, patrzył pod Ujściem na bojaźń, nieład, hańbę i zdradę, a wkońcu na triumf nieprzyjaciela. Tu pod wielkim wodzem i wiernym obrońcą ojczyzny i majestatu służyć będziem. Tu nie wiktorje, nie triumfy, ale klęski i śmierć czekają na nieprzyjaciół... Ot, dlaczego służby nasze waszej książęcej mości przybyliśmy ofiarować. My żołnierze, bić się chcemy, i pilno nam do boju.

— Jeśli taka wasza chęć, tedy i w niej będziecie mieli ukontentowanie — odparł książę poważnie. — Nie będziecie długo czekali, choć naprzód na innego nieprzyjaciela ruszymy, bo nam popioły wileńskie pomścić trzeba. Dziś, jutro, ruszymy w tamtą stronę i, da Bóg, z nawiązką krzywdy zapłacim... Nie zatrzymuję dłużej waszmościów, bo i wy wypoczynku potrzebujecie, i mnie robota pali. A przyjdźcie-że wieczorem na pokoje, może się i jaka słuszna zabawa przed pochodem zdarzy, bo siła białogłów pod nasze skrzydła do Kiejdan się przed wojną zjechało. Mości pułkowniku Wołodyjowski, podejmujże drogich gości jakoby w domu własnym, i pa-

miętajcie, że co moje, to i wasze!... Panie Harasimowicz, powiedz tam w sali zebranym panom braciom, że nie wyjdę, bo czasu nie mam, a dziś wieczorem dowiedzą się wszystkiego, co chcą wiedzieć... Bądźcie waszmościowie zdrowi i bądźcie Radziwiłłowi przyjaciółmi, gdyż mu siła teraz na tem zależy.

To rzekłszy, ów potężny i dumny pan począł podawać zkolei rękę panu Zagłobie, dwom Skrzetuskim, Wołodyjowskiemu i Charłampowi, jakby sobie równym. Posępne oblicze rozjaśniło mu się serdecznym i łaskawym uśmiechem, i owa nieprzystępność, otaczająca go zwykle jakoby ciemną chmurą, znikła zupełnie.

— To wódz! to wojownik! — mówił Stanisław, gdy z powrotem przeciskali się przez tłum szlachty, zebrany w sali audjencjonalnej.

— W ogieńbym za niego poszedł! — zawołał Zagłoba. — Uważaliście, jak wszystkie moje przewagi napamięć umie?... Ciepło będzie Szwedom, gdy ten lew zaryczy, a ja mu zawtóruję. Niemasz takiego drugiego pana w Rzeczypospolitej, a z dawnych jeden tylko książę Jeremi, a drugi pan Koniecpolski, ojciec, mogli z nim wejść w paragon. To nie lada kasztelanina, co to pierwszy z rodu na senatorskiem krześle zasiadł, i hajdawerów jeszcze sobie na niem nie wytarł, a już nosa

zadziera i szlachtę młodszą bracią nazywa, i swój konterfekt zaraz każe malować, aby, nawet jedząc, miał swoje senatorstwo przed sobą, gdy się go za sobą dopatrzyć nie może... Panie Michale, doszedłeś do fortuny!... Już tak widać jest, że kto się o Radziwiłła otrze, ten sobie wytarty kubrak zaraz ozłoci. Łatwiej tu, widzę, o promocję, niż u nas o kwartę gniłek [1]. Wsadzisz rękę w wodę z zamkniętemi oczami, i już szczupaka dzierżysz. To mi pan z panów! Szczęść ci Boże, panie Michale. Skonfundowałeś się, jak panna po ślubie; ale to nic!... Jakże się to twoje dożywocie nazywa? Dudkowo, czy jak?... Pogańskie nazwy w tej krainie. Jak orzechami o ścianę rzucisz, to właśnie imię wioski albo szlachcica uczynisz. Ale byle intrata była dobra, to nie żal i jęzór sobie wystrzępić.

— Skonfundowałem się okrutnie, przyznaję, — rzecze pan Michał, — bo to, co waćpan mówisz, że tu tak o promocję łatwo, to nieprawda. Nieraz ja słyszałem starych żołnierzy, pomawiających księcia o awarycję[2], a teraz zaczynają się niespodzianie łaski sypać jedna za drugą.

— Zatknijże sobie ten dokument za pas, uczyń to dla mnie... A jeżeli ktoś jeszcze będzie na niewdzięczność książęcą narzekał, to go z za pasa wyciągnij i daj mu

---

[1] nadgniłych gruszek. [2] skąpstwo.

nim w pysk. Lepszego argumentu nie znajdziesz.

— Jedno widzę jasno, że książę sobie ludzi kaptuje — rzekł Jan Skrzetuski — i że chyba jakieś zamiary tworzy, do których mu pomoc potrzebna.

— Alboś to nie słyszał o tych zamiarach?— odrzekł Zagłoba. — Alboż to nie powiedział, że mamy iść popioły wileńskie pomścić?... Powiadali na niego, że Wilno zrabował, a on chce pokazać, że nietylko cudzego nie potrzebuje, ale i swoje gotów jeszcze oddać... Piękna to ambicja, panie Janie. Daj nam Boże więcej takich senatorów!

Tak rozmawiając, znaleźli się znowu na dziedzińcu zamkowym, na który wjeżdżały co chwila to oddziały konnych wojsk, to gromady zbrojnej szlachty, to kolaski wiozące personatów okolicznych z żonami i dziećmi. Postrzegłszy to pan Michał, pociągnął wszystkich ze sobą do bramy, aby się wjeżdżającym przypatrywać.

— Kto wie, panie Michale, dziś twój fortunny dzień... Może tu i żona dla ciebie pomiędzy temi szlachciankami jedzie — rzekł pan Zagłoba. — Obacz! ot, jakaś kolaska odkryta się tu zbliża, a w niej coś białego siedzi...

— Nie panna to jeszcze jedzie, ale ten, który mi może ślub z nią dać, — odrzekł bystrooki pan Wołodyjowski, — gdyż zdaleka

poznaję, że to ksiądz biskup Parczewski nadjeżdża z księdzem Białozorem, archidiakonem [1] wileńskim.

— Zali oni księcia, choć kalwina, odwiedzają?

— Cóż mają czynić? Gdy tego potrzeba dla spraw publicznych, muszą ze sobą politykować.

— Ej, rojno też tu! ej, gwarno! — rzekł z radością pan Zagłoba. — Człowiek już zardzewiał na wsi, jak stary klucz w zamku... Tu się lepsze czasy przypomną. Szelmą jestem, jeżeli dzisiaj do jakiej dziewki, gładyszki, w zaloty się nie puszczę!

Dalsze słowa pana Zagłoby przerwali żołnierze, trzymający straż w bramie, którzy, wypadłszy z odwachu, stanęli w dwa szeregi na przyjęcie księdza biskupa; on zaś przejechał, czyniąc krzyż ręką na obie strony, błogosławiąc żołnierzy i zebraną w pobliżu szlachtę.

— Polityczny to pan, książę, — rzekł Zagłoba, — że tak księdza biskupa honoruje, chociaż sam zwierzchności kościelnej nie uznaje... Dałby Bóg, żeby to był pierwszy krok do nawrócenia.

— E! nie będzie z tego nic. Niemało o to starań czyniła pierwsza jego żona, i nic nie wskórała, aż umarła ze zmartwienia... Ale czemu to Szkoty z warty nie

[1] najstarszym kapłanem, zastępcą biskupa.

schodzą? Widać znowu ktoś godny będzie przejeżdżał.

Jakoż w dalekości ukazał się cały orszak zbrojnych żołnierzy.

— To dragony Ganckofa, poznaję — rzekł Wołodyjowski; — ale jakieś karety w środku idą!

Wtem bębny poczęły warczeć.

— Oho! to widać ktoś większy od księdza biskupa żmudzkiego! — zawołał Zagłoba.

— Czekaj waść, już są.

— Dwie karety w pośrodku.

— Tak jest. W pierwszej to pan Korf, wojewoda wendeński.

— Jakże! — zakrzyknął Jan — to znajomy ze Zbaraża...

Jakoż wojewoda poznał ich, a najpierwej Wołodyjowskiego, którego widocznie częściej widywał; więc, przejeżdżając, wychylił się z kolaski i zakrzyknął:

— Witam waszmościów, starzy towarzysze!... Ot, gości wieziem!

W drugiej karecie, z herbami księcia Janusza, zaprzągniętej w cztery białe ogiery, siedziało dwóch panów wspaniałej postaci, ubranych z cudzoziemska, w kapelusze o szerokich koliskach, z pod których jasne pukle peruk spływały im aż na ramiona, na koronkowe, szerokie kołnierze. Jeden, bardzo otyły, nosił śpiczastą płową brodę i wąsy rozstrzępione na końcach i podniesione do góry;

drugi, młodszy, ubrany całkiem czarno, mniej rycerską miał postawę, ale może wyższy jeszcze urząd, gdyż na szyi błyszczał mu złoty łańcuch, zakończony jakimś orderem. Obaj widocznie byli cudzoziemcami, spoglądali bowiem ciekawie na zamek, na ludzi i na ubiory.

— Co za djabły? — pytał Zagłoba.

— Nie znam ich, nigdy nie widziałem! — odrzekł Wołodyjowski.

Wtem karoca przejechała i poczęła okrążać dziedziniec, by zajechać przed główny korpus zamkowy, dragoni zaś zatrzymali się przed bramą.

Wołodyjowski poznał dowodzącego nimi oficera.

— Tokarzewicz! — zakrzyknął — a bywajno waszmość!

— Czołem, mości pułkowniku!

— A jakich to szołdrów wieziecie?

— To Szwedzi.

— Szwedzi?

— Tak jest, i znaczni ludzie. Ten gruby, to hrabia Loewenhaupt, a ów cieńszy, to Benedykt Skitte baron von Duderhoff.

— Duderhoff?! — rzekł Zagłoba.

— A czego oni tutaj chcą? — pytał pan Wołodyjowski.

— Bóg ich wie! — odpowiedział oficer. — My ich od Birż eskortujem. Pewnie paktować z naszym księciem przyjechali, bo tam w Bir-

żach słyszeliśmy, że książę wielkie wojsko zbiera i że ma Inflanty najechać.

— Ha, szelmy! tchórz was oblatuje! — wołał Zagłoba. — To Wielkopolskę najeżdżacie, króla rugujecie, a tu kłaniacie się Radziwiłłowi, by was w Inflanty nie połechtał. Poczekajcie! będziecie zmykać do waszych Dunderhoffów, aż wam pończochy opadną! Zaraz my tu z wami podunderujemy. Niech żyje Radziwiłł!

— Niech żyje! — powtórzyła stojąca przy bramie szlachta.

— Defensor patriae [1]! Obrońca nasz! Na Szweda, mości panowie! na Szweda!

Uczyniło się koło. Coraz więcej szlachty zbierało się z dziedzińca, co widząc Zagłoba, skoczył na wystający cokół [2] bramy i począł wołać:

— Mości panowie, słuchajcie! Kto mnie nie zna, temu powiem, żem jest stary zbarażczyk, który Burłaja, największego hetmana po Chmielnickim, tą oto starą ręką usiekł; kto zaś nie słyszał o Zagłobie, ten widać czasu pierwszej kozackiej wojny groch łuszczył, kury macał albo cielęta pasał, czego po tak zacnych kawalerach się nie spodziewam.

— Wielki to rycerz! — ozwały się liczne głosy. — Niemasz w Rzeczypospolitej większego!... Słuchajcie!

---

[1] obrońca ojczyzny! [2] dolna, przyziemna część budowli, występująca nieco przed lico ściany.

— Słuchajcie, mości panowie! Starym kościom chciało się wypoczynku; lepiejby mi było po piekarniach się wylegać, twaróg ze śmietaną jadać, po sadach chodzić i jabłka zbierać, albo ręce wtył założywszy, nad żniwakami stać, lub dziewki po łopatkach poklepywać. Pewnie i nieprzyjaciel byłby mnie dla własnego dobra ostawił w spokoju, bo i Szwedzi i Kozacy wiedzą, że mam rękę przyciężką, i dałby Bóg, aby moje imię tak było znane waćpanom, jak hostibus [1] jest znane.

— A co to za kur tak górnie pieje? — spytał nagle jakiś głos.

— Nie przerywaj! bodaj cię zabito! — wołali inni.

Lecz Zagłoba dosłyszał.

— Wybaczcie waćpanowie temu kogutkowi! — zakrzyknął — bo on jeszcze nie wie, z której strony ogon, a z której głowa.

Szlachta wybuchnęła ogromnym śmiechem, a zmieszany preopinant [2] cofał się prędzej poza tłum, aby ujść szyderstw, które poczęły się sypać na jego głowę.

— Wracam do materji! — mówił Zagłoba. — Owóż, repeto, należałby mi się wypoczynek, ale że ojczyzna w paroksyzmie, że nieprzyjaciel depce naszą ziemię, przetom tu jest, mości panowie, aby razem z wami opo-

[1] nieprzyjaciołom, wrogom. [2] mówca, który się poprzednio odzywał.

nować się hostibus, w imię tej matki, która nas wszystkich wykarmiła. Kto przy niej dziś nie stanie, kto jej na ratunek nie pobieży, ten nie syn, ale pasierb, ten nie godzien jej miłości. Ja stary idę, niech się dzieje wola Boża, a jeśli zginąć przyjdzie, tedy ostatnim tchem będę wołał: Na Szweda! panowie bracia! na Szweda!... Poprzysięgnijmy sobie, że nie prędzej popuścimy szable z dłoni, aż ich z ojczyzny wyżeniem!...

— My i bez przysiąg na to gotowi! — zawołały liczne głosy. — Pójdziem, gdzie nas nasz hetman książę poprowadzi; zajedziem, gdzie potrzeba!

— Mości panowie bracia!... Widzieliście, jako dwóch pludraków przyjechało w złocistej karecie. Wiedzą oni, że nie z Radziwiłłem to igrać. Będą za nim po komnatach chodzić i w łokcie go całować, by im dał pokój. Ale książę, mości panowie, od którego z narady wracam, upewnił mnie imieniem całej Litwy, że nic z paktów, nic z pergaminów, jeno wojna i wojna!!

— Wojna! wojna! — powtórzyły jak echa głosy słuchaczy.

— Lecz że i wódz — mówił dalej Zagłoba — tem śmielej sobie poczyna, im swoich żołnierzy pewniejszy, okażmy tedy, mości panowie, nasze sentymenta. A nuże! Pójdźmy pod pańskie okna zakrzyknąć: „hajże na Szweda!“ Za mną, mości panowie!

To rzekłszy, zeskoczył z cokołu i ruszył naprzód, a tłum za nim, i tak przyszli pod same okna, czyniąc gwar coraz większy, który wkońcu zlał się w jeden olbrzymi okrzyk:

— Na Szweda! na Szweda!

Po chwili wypadł z sieni pan Korf, wojewoda wendeński, zmieszany bardzo, za nim Ganckof, pułkownik rajtarów książęcych, i obaj poczęli hamować szlachtę, uciszać, prosić, żeby się rozeszła.

— Na Boga! — mówił pan Korf, — tam na górze aż szyby drżą, a waćpanowie ani wiecie, jakeście się nie w porę z waszemi okrzykami wybrali. Jakże to możecie posłom zniewagi czynić, przykład niekarności dawać! Kto was do tego pobudził?

— Ja! — odrzekł Zagłoba. — Powiedz wasza miłość księciu panu w imieniu nas wszystkich, że go prosimy, aby był twardy, bo do ostatniej kropli krwi gotowiśmy przy nim wytrwać.

— Dziękuję waszmościom w imieniu pana hetmana, dziękuję waszmościom, ale już się rozejdźcie. Rozwagi, mości panowie! Na żywy Bóg, rozwagi, bo ojczyznę doreszty pogrążycie! Niedźwiedzią przysługę ojczyźnie oddaje, kto dziś posłów znieważa.

— Co nam do posłów! Chcemy się bić, nie paktować!

— Cieszy mnie animusz waszmościów! Przyjdzie na to pora niezadługo, bodaj że

i bardzo prędko. Wypocznijcie teraz przed wyprawą. Pora na gorzałkę i przekąskę! Źle się bić o pustym brzuchu.

— Prawda, jako żywo! — zawołał pierwszy pan Zagłoba.

— Prawda, w sedno utrafił. Skoro książę zna nasze sentymenta, to nie mamy tu co robić!

I tłum począł się rozpraszać, największy zaś płynął do oficyn, w których liczne stoły były już zastawione. Pan Zagłoba szedł na czele — pan Korf zaś wraz z pułkownikiem Ganckofem udali się do księcia, który siedział na naradzie z posłami szwedzkimi, z księdzem biskupem Parczewskim, z księdzem Białozorem, z panem Adamem Komorowskim i z panem Aleksandrem Mierzejewskim, dworzaninem króla Jana Kazimierza, czasowo bawiącym w Kiejdanach.

— Kto tam był sprawcą tej wrzawy? — pytał książę, z którego lwiej twarzy gniew jeszcze nie ustąpił.

— To ów szlachcic świeżo przybyły, sławny pan Zagłoba! — odpowiedział wojewoda wendeński.

— Mężny to rycerz, — odparł książę, — ale za wcześnie mi się rządzić poczyna.

To rzekłszy, skinął na pułkownika Ganckofa i począł mu coś szeptać do ucha.

Pan Zagłoba tymczasem, rad z siebie, szedł do sal dolnych uroczystym krokiem, mając

przy sobie panów Skrzetuskich i pana Wołodyjowskiego, do których mówił zcicha:

— A co, amici [1]? ledwiem się pokazał, jużem afekt w tej szlachcie ku ojczyźnie rozbudził. Łatwiejże teraz księciu odprawić z niczem posłów, bo się na nasze suffragia potrzebuje tylko powołać. Nie będzie to, jak myślę, bez nagrody, choć najwięcej mi o honor chodzi. Czegożeś tak stanął, panie Michale, jak skamieniały, i oczy utkwiłeś w oną kolaskę przy bramie?

— To ona! — rzekł, ruszając wąsikami, pan Michał. — Na Boga żywego, ona sama!

— Kto taki?

— Billewiczówna...

— Ta, która ci dała rekuzę?

— Tak jest. Patrzcie waszmościowie, patrzcie! Nie zmarnieć-że tu człeku od żałości?

— A poczekajcie-no! — rzekł Zagłoba — trzeba się przyjrzeć.

Kolaska tymczasem, zatoczywszy koło, zbliżyła się do rozmawiających. Siedział w niej okazały szlachcic z siwiejącym wąsem, a obok niego panna Aleksandra, piękna jak zawsze, spokojna i poważna.

Pan Michał utkwił w nią wzrok rozżalony i skłonił się nisko kapeluszem, ale ona nie dostrzegła go w tłumie. Zagłoba zaś rzekł, spoglądając na jej delikatne, szlachetne rysy:

---

[1] przyjaciele.

— Pańskie to jakieś dziecko, panie Michale, i za misterna dla żołnierza. Przyznaję, że gładka, ale ja wolę takie, co to i zrazu nie poznasz: armata, czy białogłowa?

— Nie wiesz waszmość, kto to przyjechał? — spytał pan Michał stojącego obok szlachcica.

— Jakże nie wiem?! — odparł szlachcic — to pan Tomasz Billewicz, miecznik rosieński. Wszyscy go tu znają, bo to dawny radziwiłłowski sługa i przyjaciel.

DRUKARNIA OSSOLINEUM LWÓW